Nr. 9. Kraków, we wrześniu 1902 r. Rok III.



Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

31 LIPCA

Piędziesiątpiątą rocznicę męczeńskiego zgonu dwóch zacnych Polaków, obchodzą rok rocznie bardzo uroczyście mieszkańcy Lwowa dnia 31 lipca.

Rok 1830 i 31 — jak już wiemy skończył się krwawą przegraną — która choć kraj nasz cały kirem żałoby i smutku okryła, nie odebrała jednak nadziei lepszej, a nawet świetniejszej przyszłości! Praca i usiłowania nad oswobodzeniem Ojczyzny naszej nie ustawały, ale trwały i prowadziły się dalej pomiędzy rozprószonymi wygnańcami i wychodźcami polskimi we Francyi, Szwajcaryi, Anglii i t. d. Już w r. 1832 na ziemi francuskiej założono „Towarzystwo demokratyczne [1]) polskie", które wzięło sobie za cel wszelkimi sposobami dążyć do przywrócenia Polsce niepodległości. Działalność tak tego Towarzystwa, jakoteż innych, które dla tych samych powstały celów — była bardzo czynna, energiczna. Wydawano pisma, rozdawano je, urządzano zebrania za pomocą emisaryuszy [2]), których wysyłano do Ojczyzny, rozbudzano ducha narodowego, zachęcano w pracy tworzenia towarzystw polskich, wzniecano tę iskrę patryotyczną w sercach narodu, by, po upadku powstania w 1831 roku nie zagasła.

Do takich wysłanników czyli emisaryuszy należał Teofil Wiśniowski.

Teofil — jest to jedna z najczystszych, z najszlachetniejszych, a przez to najsympatyczniejszych postaci naszych dziejów porozbiorowych. Urodzony w r. 1806 w Jazłowcu w powiecie czortkowskim, uczęszczał do uniwersytetu lwowskiego. Wiśniowski jako gorliwy i gorący patryota, był pod ścisłym dozorem władz policyjnych, które wówczas prześladowały tych, którzy nie mogli zapomnieć, że są Polakami. Już po skończeniu uniwersytetu w r. 1835 aresztowano go pod zarzutem zbrodni stanu, gdy jednak nie umiano udowodnić mu winy, wypuszczono go na wolność. W parę lat później zawiadomiono go i ostrzeżono potajemnie, że ma

[1]) demokratyczne, to znaczy ludowe.

[2]) wysłanników.

być znowu aresztowanym. Wtedy cichaczem w r. 1838 Teofil Wiśniowski opuścił Galicyę udając się do Francyi.

Przybywszy do Paryża, wstąpił do Towarzystwa demokratycznego, gdzie był jednym z najczynniejszych członków. Rząd główny tego towarzystwa, poruczył mu, by organizował powstanie we Wschodniej Galicyi, zwłaszcza w powiatach tarnopolskim i czortkowskim. Jak spełniał swoje posłannictwo ten dzielny szermierz wolności gnębionego narodu — najlepszym dowodem, że wyznaczono ze strony rządu austryackiego wielką nagrodę temu, kto schwyta Wiśniowskiego i dostawi władzom policyjnym. Wiśniowski szczęśliwie unikał zastawionych sieci, rozpowszechniał odezwy rewolucyjne, zapalał przemówieniami swemi do zrzucenia jarzma niewoli, zbierał składki, jednał sprawie zwolenników.

Zbliżał się tymczasem termin wybuchu ogólnego powstania. Na naradzie oznaczono dzień 22 lub 24 lutego 1847. Skutkiem bardzo utrudnionego porozumienia się między powstańcami, przyszło do wybuchu powstania, ale tylko częściowego. Do tych, którzy się pierwsi zjawili, należał Teofil Wiśniowski. Mianowicie 21 lutego wieczorem, stawił się on z garstką licho uzbrojonych powstańców pod karczmą, zwaną „Krągłą“, niedaleko Narajowa. Po odebraniu przysięgi, uderzono na oddział huzarów w Narajowie. Ponieważ powstańcy byli w bardzo małej liczbie, zostali więc rozbici, a przez władze austryackie pojmani i osadzeni w więzieniu.

Wiśniowskiemu udało się szczęśliwie umknąć. Przez parę miesięcy ukrywał się ten dzielny organizator przed pościgiem władz. W dniu 5 maja 1847 został przypadkiem schwytany w okolicy Podkamienia. Zakutego w kajdany odstawiono do więzienia obwodowego.

Proces uczestników wypadków lutowych postępował bardzo powoli. Wreszcie zapadły wyroki, przeważną część więźniów skazano na dalsze więzienie, a dwóch na karę śmierci przez powieszenie, tymi byli Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński.

Usłyszawszy wyrok, Wiśniowski był zrazu bardzo wzruszony, później jednak odzyskał dawny spokój.

— Żegnam was, bracia — rzekł do towarzyszy — bo już mój czas się zbliża. Wspominajcie czasem o mnie, że żyłem na świecie. Spokojni bądźcie, bo ja już od dawna byłem na to przygotowany.

Dnia 28 lipca odbyła się ceremonia odczytania wyroków, której towarzyszyły niezliczone tłumy, pragnące poznać tego, który walczył za Ojczyznę i za nią miał zginąć. Wśród tłumów tych panowała cisza cmentarna i dopiero, gdy ukazał się skazaniec, rozległy się łkania bolesne. Wysłuchawszy z godnością i powagą wyroku, zawołał Wiśniowski na odchodnem:

— Żegnam was, Polacy!

Wykonanie wyroku wyznaczono na dzień 31 lipca.

Ostatnią noc przebył Wiśniowski spokojnie. Zbudzono go o godz. 6 rano. Ubrawszy się, prosił, by go zaprowadzono do sali posiedzeń sądu, gdzie byli zgromadzeni wszyscy radcy z prezesem na czele. Życzeniu jego uczyniono zadość. Stawiony przed swymi sędziami przemówił do nich w te słowa:

— Panowie! przyszedłem prosić was o przebaczenie za to, czem was obrazić mogłem, bo ja wam wszystko przebaczam!

Następnie zaś, zwróciwszy się do aktuaryusza, Sellyey'a, który swoją służbistością przyczynił się do jego aresztowania w Podkamieniu, dodał:

— Tobie to mam podziękować, że idę pod szubienicę, lecz i tobie przebaczam!

Głuche milczenie zaległo salę, a skazaniec, nie mówiąc już ani słowa, pełen godności i powagi, brzęcząc kajdanami, zwrócił się ku wyjściu. Za chwilę siedział już na wozie, który miał go zawieźć pod szubienicę, na śmierć ohydną, którą pospolitych tylko karają zbrodniarzy, nie tych, którzy walczą jawnie z bronią w ręku, w imię raz poślubionej a świętej dla każdego idei...

Na dziedzińcu sądowym, jakoteż na ulicy przed gmachem, stały już uszykowane do pochodu kolumny żołnierzy, w całej paradzie, z dowódzcami na czele. Za nimi zaś, jak daleko okiem można było sięgnąć, snuły się niezliczone tłumy ludzi, z bolem na twarzy, ale dziwnym zapałem w oczach. Cały Lwów, mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, wyległ na ulice miasta, ażeby ujrzeć i po raz ostatni pożegnać bohaterów.

Pomiędzy tłumami tymi panowała niczem niezamącona, grobowa cisza. Wtem rozległy się głosy komendy, zahuczały bębny i kolumny żołnierzy, uszykowawszy się do pochodu, opuściły szybkim miarowym krokiem dotychczasowe swoje stanowiska.

Teraz dopiero domyślono się podstępu. W obawie, ażeby skazańców po drodze nie odbito, wywieziono ich tylną furtą od placu Bernardyńskiego, wzdłuż Wałów i przez Krakowskie, na miejsce stracenia, obstawione dokoła wojskiem. Wszędzie jednak roiły się od samego już rana tłumy ludu. Wozy skazańców obrzucono kwiatami.

Był to widok prawdziwie majestatyczny.

„.... Na prostych wozach — opisuje współczesny świadek — z dwoma księżami, każdy we własnych sukniach, siedzieli z wyrazem spokojności, nawet swobody, tak jasnym, tak pięknym — szczególniej Wiśniowski — że podziwienie wzbudzali, nawet żal u Austryaków. Wiśniowski, na którego bladej twarzy, o szlachetnych rysach, widoczne były ślady długich cierpień, ciężkich walk wewnętrznych, przedstawiał obraz zupełnego zwycięstwa umysłu dzielnego, duszy w nieszczęściu zahartowanej, nad ciałem osłabionem, nerwami starganymi ciągłem niebezpieczeństwem, ciągłą niepewnością. Czystem, spokojnem okiem patrzył wokoło siebie, jakby ostatniem jeszcze wejrzeniem chciał przyjąć w siebie wrażenie całego ogromu tej sceny, która mu się w ciągu ostatniego ciężkiego pochodu przedstawiała, sceny, której był głównym powodem, był ofiarą i ogniskiem. Siedząc z krzyżem w ręku, kłaniał się okazującym mu cześć i współczucie. Kapuściński siedział spokojnie i śmiało, ale się nie kłaniał".

Pochód doszedł nareszcie do stóp wzgórza, zwanego do dziś dnia „górą stracenia", na którego szczycie wkopano drewna dwu szubienic.

Jeszcze chwila i dwa ciała zawisły w powietrzu. Stało się zadość.... sprawiedliwości!

Wiśniowski zginął z okrzykiem: „Niech żyje Polska!" Kapuściński powtórzył ten okrzyk i dodał: „Bracia! nie dajcie się odstraszyć moją śm..."

Reszty słów już nie mógł dokończyć; przerwał je stryczek, zagłuszyły bębny...

Wokoło zaległa cmentarna cisza. Tłumy ludu stały u stóp wzgórza, jakby wryte do ziemi, mimo ulewnego deszczu, który w chwilę po dokonaniu egzekucyi, spadł strumieniem na ziemię.

Ciała skazańców wisiały na szubienicy dzień cały, zdjęto je dopiero o godzinie 6 i pół wieczorem, przysypano niegaszonem wapnem, polano wodą i zakopano, żeby z nich i śladu nie było.

Po dokończeniu tej ostatniej czynności ze strony przedstawicieli sprawiedliwości, tłumy zaczęły się rozchodzić, unosząc ze sobą, głęboko w duszy, sercu, umyślnie wyryte słowa Teofila Wiśniowskiego:

„Polacy! Niech was śmierć nasza nie przestrasza — nie traćcie nadziei — ufajcie Bogu! Choć my giniem, żyć jednak i wolną będzie Ojczyzna!"



Kalwarya Zebrzydowska.

W sierpniu b. r. odbywała się 300-letnia rocznica założenia Kalwaryi Zebrzydowskiej, miejsca, którego kościół słynie cudownym obrazem Matki Boskiej, a przez to na liczne odpusty ściąga rok rocznie mnóstwo pobożnego ludu z dalekich nawet okolic.

Założycielem kalwaryjskiego kościoła był możny i w dziejach Polski znany wojewoda, Mikołaj Zebrzydowski, pan na sąsiedniej Lanckoronie, który w roku 1595 ujrzał razu pewnego ponad górą Żarek zjawisko jaśniejących trzech krzyżów, jakoby wezwanie do postawienia tamże świątyni dla Pana Zastępów. Chcąc jednak, aby kościół, który zamierzył na górze tej zbudować, był zrobiony na wzór któregoś z kościołów Jerozolimskich, wysłał do Ziemi świętej dworzanina swego Hieronima Strzałę, i polecił mu przywieźć z sobą rysunki i plany tamtejszego kościoła Ukrzyżowania Pańskiego. W roku 1597 powrócił z Jerozolimy Strzała i oznajmił, że góra Żarek, i pod Jerozolimską wznosząca się górą męki Pańskiej, są do siebie z położenia bardzo podobne i że możnaby na wzór tamtejszej Kalwaryi tutaj taką samą odtworzyć. Więc Zebrzydowski, któremu się ten pomysł bardzo spodobał, zabrał się z zapałem do roboty. Kazał budować kaplice wśród wycinanych gąszczów leśnych, a dnia 2 sierpnia 1602 r. odbyło się uroczyste założenie kamienia węgielnego pod główny budynek kościoła. Wojny i rozruchy domowe w Polsce utrudniły Zebrzydowskiemu pracę około szybkiego wznoszenia świątyni i kapliczek stacyjnych w Kalwaryi (tak bowiem odtąd górę Żarek zwano), aż dopiero w październiku r. 1609 był już kościół zupełnie skończony, uroczyście poświęcony i oddany OO.

Bernardynom, który to zakon do dziś dnia w Kalwaryi służbę Bożą pełni. Papież Klemens VIII. nadał kościołowi temu moc zupełnych odpustów i różne przywileje.

Syn Mikołaja Zebrzydowskiego, Jan i jego następcy Franciszek i Michał, bogaci i pobożni panowie, upiększali kościół i kaplice kalwaryjskie; po nich zaś odziedziczyli tak Lanckoronę, jak i Kalwaryę ks. Czartoryscy. W kościele tym kilkakrotnie modliły się i doznawały łask Bożych najdostojniejsze osoby polskich królów. Tak król Władysław IV. dziękował tam Stwórcy za świetne zwycięstwo, które w roku 1621 odniósł pod Chocimem nad Turkami, a w roku 1633 przybyli tam pieszo w stroju pielgrzymów dwaj bracia tego Monarchy: Jan Kazimierz i Aleksander; a gdy smutne chwile nastały dla Polski, gdy upadek jej się przygotowywał, Kalwarya już podówczas miasteczko u stóp góry swej mająca, stanowiła niejednokrotnie obronne miejsce dla garstki walecznych, przez wrogów ojczyzny ściganych Polaków. Zwłaszcza podczas konfederacyi barskiej — za panowania słabego króla Stanisława Poniatowskiego — gdy Moskale wyparli nasze siły zbrojne z miast i warowni większych, broniła się najdłużej i skuteczny opór najeźdźcom stawiała Lanckorona i Kalwarya, gdzie nieśmiertelnej pamięci Kazimierz Puławski do upadłego walczył. [1])



Chłopi w dawnej Polsce.

W dzisiejszych czasach, na początku XX-go wieku, nikt już chyba nie wątpi, że wszyscy ludzie też same winni mieć prawa, tąż samą cieszyć się wolnością. Jeżeli dzisiaj kto zawini, popełni jakie przestępstwo, to bez względu na to, czy jest panem, czy sługą, bogatym czy ubogim, wykształconym lub ciemnym, przed jednym sądem odpowiadać musi i za winy swoje jednaką ponosi karę. W państwach dzisiejszych wszyscy obywatele równi są wobec prawa, jednakie ich obowiązują ustawy, mogą swobodnie rozporządzać osobą swą i mieniem. Ale podobny porządek oparty na poczuciu sprawiedliwości, dopiero niedawno, po długich walkach, po obfitym krwi rozlewie w Europie całej wprowadzony został. U nas w Polsce podobnie jak w innych krajach, ludzie dawniej dzielili się na odrębne od siebie stany, t. j. na duchowieństwo, szlachtę, mieszczaństwo i chłopów. Dwa pierwsze stany uważały się za coś lepszego, wyższego od innych, gardziły stanami niższymi, narzucić im usiłowały wolę swą i zwierzchnictwo. Każdy stan innem rządził się prawem, inne miał sądy, innych urzędników, inne stanowisko w państwie. Jeżeli zdarzyło się, że szlachcic w gniewie zranił lub zabił chłopa, to ponosił jedynie karę pieniężną, ale niechby się chłop odważył targnąć na szlachcica, przypłacał to gardłem, na śmierć go skazywano. Ciężka była dola ludu wiejskiego, ciężkim los słabszych, wydanych nieraz na pastwę samowoli i przemocy. (Takie to były wówczas pojęcia).

U nas w Polsce w czasach bardzo dawnych, kiedy rządzili książęta i królowie z rodziny Piastów, nie istniały jeszcze wielkie różnice między stanami, każdy z nich cieszył się pewną swobodą i dobrobytem, czuł nad sobą opiekę panującego monarchy. Ostatni z Piastów, Kazimierz Wielki, zasłynął jako prawdziwy ojciec swojego ludu, surowo poskramiał swawolę możnych panów, za niego zakwitły miasta, bezpiecznym i szczęśliwym czuł się lud wiejski, a wielkiemu monarsze zaszczytny przydomek „króla chłopków“ nadany został.

Po wygaśnięciu drogiej narodowi rodziny Piastów, szybko zmieniają się stosunki; do znaczenia, do władzy w państwie dochodzi stan jeden, szlachta, ona rządy kraju bierze w swoje ręce, ona odtąd uważa się za naród cały, ogranicza coraz bardziej króla, upośledza stany niższe, nie mogące bronić się, nie zdolne do stawienia oporu jej wszechpotędze. Smutne te zmiany dokonane zostały w ciągu XV-go i XVI-go wieku, za panowania Jagiellonów. Wszystkie najważniejsze sprawy rozstrzygał w Polsce Sejm, złożony z samej szlachty; chłop ani mieszczanin nie miał prawa wysyłać do Sejmu własnych posłów, którzyby bronili ich interesów; nic też dziwnego, że zapadające uchwały korzystne były dla Panów, ostre i surowe dla innych mieszkańców państwa.

Pierwotnie ziemia polska należała do króla, duchowieństwa i szlachty; pracujący na niej chłopi dzierżawili ją tylko od tych rzeczywistych jej właścicieli. Zwykle wieś każda dzieliła się

---

[1]) Mikołaj Zebrzydowski był to butny i zarozumiały człowiek, spokrewniony ze znacznemi rodzinami w Polsce. Pragnął on ogłosić się za kierownika i opiekuna Rzeczypospolitej polskiej. Zbuntował się więc przeciw królowi, a nawet knuł plany buntu przeciw niemu. Przez dwa lata człowiek ten wichrzył i niepokoił skołataną ojczyznę, przeszkadzając i tamując bieg najlepszych dzieł i przedsięwzięć. Bunt jego zakończył się zupełną porażką pod Guzowem w r. 1602. Dumny wojewoda przeprosiwszy króla Stefana Batorego, rozpoczął prowadzić życie wielce świątobliwe i zajął się budową Kalwaryi.

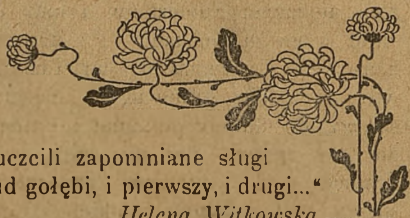
na dwie części: jedna mniejsza, była bezwzględną własnością pana, tam stał dwór szlachecki, dokoła ciągnęły się łany, na których pracowała czeladź pańska, dochody z nich szły na utrzymanie szlachcica i jego rodziny. Druga część większa była rozdzielona na wiele małych gospodarstw, osiedleni tam chłopi pracowali około roli i corocznie część owoców pracy swej składać musieli panu, właścicielowi ziemi; składano je albo w naturze, t. j. chłop dostarczał do dworu umówioną ilość zboża, bydła, kur, jaj i t. p., albo też w pieniądzach, zwykle po żniwach w jesieni, koło św. Marcina. Reszta plonów należała do chłopa, pan nie miał prawa usunąć go ze wsi. gospodarstwo ojców przechodziło dziedzicznie na synów, całe pokolenia na jednej pracowały roli. Chłop był osobiście wolnym, mógł ziemię opuścić, byle tylko naprzód uprzedził o tem swojego pana i zapłacił w umowie zastrzeżoną sumę; miał prawo dziećmi rozporządzać wedle własnej woli, mógł synów swych na naukę wysyłać do miasta, kierować na księży lub rzemieślników. Wszyscy chłopi jednej wsi stanowili gromadę, na czele której stał dziedziczny sołtys, on to sądził sprawy chłopskie, rozstrzygał i łagodził spory, opiekował się gromadą, bronił jej przed samowolą panów, przed nadużyciami właścicieli ziemskich.

Stosunki te zmieniły się, skoro szlachta doszła do znaczenia w państwie. Wtedy nie uszanowała ona swobód ludu wiejskiego, ograniczała je coraz więcej, aż wreszcie w XVI-tym wieku poddała chłopów zupełnie pod władzę swą i zwierzchnictwo. Szlachcic skupował zwykle dużo ziemi, chciał mieć z niej jaknajwięcej zboża, by je w Gdańsku sprzedawać korzystnie zagranicznym kupcom i z handlu zbożowego znaczne ciągnąć zyski. Do pracy na roli potrzebował możliwie najwięcej rąk, a nie chcąc opłacać sił roboczych, nakładał na ludność ciężary zwane p a ń s z c z y z n ą lub r o b o c i z n ą. Znaczyło to, że chłop musiał bezpłatnie, przez określony przeciąg czasu pracować na ziemi pana swojego. Uchwały sejmowe z 1520 i 1521 r. stanowiły, że każdy wieśniak odrabiać winien robocizny jeden dzień w tygodniu, zatem 52 dni rocznie, ale zdarzało się, że chłop trzy a nawet więcej nieraz dni w tygodniu darmo musiał pracować dla pana, nie mając dość czasu do należytego obrobienia swojego gruntu. Pańszczyzna łącznie z opłacanym corocznie czynszem, podkopywała dobrobyt włościanina, obciążając nadmiernie skromne jego gospodarstwo. Nie poprzestając na tem szlachta dążyła do przykucia chłopów do roli, niejako obrócenia ich w swoich poddanych. Panom zależało na posiadaniu jak największej ilości sił roboczych, obawiali się, że lud uciskany tłumnie opuszczać będzie ziemię i aby temu zapobiedz, wydali szereg ustaw ograniczających wychodźtwo. W 1496 r. postanowiono, że nie więcej jak jeden chłop na rok może wieś opuszczać, że synowie włościańscy, którzy dotąd swobodnie rozporządzali swoją osobą, przykuci są też do ziemi z wyjątkiem jednego, o ile ten nie jest jedynakiem, mającym kiedyś zastąpić ojca przy gospodarstwie. W 1532 r. wydano uchwałę, że chłopu nie wolno nigdy ruszać się ze wsi bez zezwolenia pana. Szlachta dążąc do zupełnej władzy nad ludem, usuwała stopniowo ze wsi niezależnych sołtysów, niszcząc tem samem ostatni szczątek dawnych chłopskich swobód.

Wreszcie wzięła szlachta w swe ręce sądownictwo nad ludem. Od wyroku pana chłop nigdzie nie mógł się odwołać, pan skazywał go wedle woli swej; chłopu nie przysługiwało prawo pozwania pana, i w tem tkwi właśnie cała groza jego położenia, nie mógł on nigdzie krzywd swoich dochodzić, brakło mu opieki władz publicznych. Pan, w którego osobistym interesie leżało wyzyskanie pracy włościanina, który z niej ciągnął zyski, był jednocześnie sędzią ludu w sprawach, które tyczyły się ich wzajemnych stosunków. W podobnych warunkach o sprawiedliwości nie mogło być mowy, chłop popadł w twardą niewolę, przeciążony pracą, żył w ciemnocie i niedostatku, wiadomości jego nie sięgały poza ciasny obręb jednej wsi, nie wiedział często, że istnieje obszerne państwo, nic troszczył się o jego dolę lub niedolę, nawet nazwa „Polak“ obcą mu była, chłopi między sobą nazywali się Mazurami, Kujawiakami, Krakowiakami lub poprostu chłopami toporowskimi, kosińskimi wedle nazwiska wsi pańskiej. Smutne to były stosunki, ludzie szlachetni a światli rozumieli, że dzieje się ludowi krzywda, że należałoby w doli jego zaprowadzić zmiany na lepsze. Znakomity kaznodzieja króla Zygmunta III., ks. Piotr S k a r g a, surowo piętnował poddaństwo. „Wszyscy żyjemy, mówił z pracy tych nędznych robaczków, a nikt ich nie ratuje, choć srogo są uciskani“. Po strasznych wojnach kozackich i szwedzkich, Jan Kazimierz we Lwowie uroczyście ślubował, że ulży doli ludu wiejskiego, ale ślubów dokonać nie mógł, bo szlachta na nie zgodzić się nie chciała. Wygnany do Francyi król Stanisław Leszczyński tak przedstawia stan chłopów polskich: „Cała masa ludu pozbawioną jest praw człowieka, szlachcic poddanego swego zasądzić może na śmierć, za za-

bójstwo jego płaci zaś tylko drobną karę pieniężną. Uważamy chłopów za stworzenia całkiem innego gatunku i odbieramy im prawie powietrze którem oddechają, nie uznając różnicy między nimi a bydłem używanem do uprawy roli, często mniej ich ochraniamy jak zwierzęta".

Po pierwszym rozbiorze Polski coraz częściej odzywają się głosy, nawołujące do poprawy doli ludu wiejskiego, wielu panów ograniczało lub zupełnie w dobrach swych znosiło pańszczyznę i poddaństwo, były to jednak **łaski** pańskie, podczas gdy uczeni domagali się **praw**. Sejm 4-letni poruszył sprawę polską i w artykule IV. Konstytucyi 3-go Maja oddał chłopów pod opiekę rządu, przyczem zastrzegł, że szlachcic zawierający umowę z chłopem winien jej dotrzymać, inaczej do odpowiedzialności ma być pociągniętym. Konstytucya nazwała lud wiejski „najpożyteczniejszym stanem, który pracą swą żywi społeczeństwo", żadnych jednak zmian ważniejszych na jego korzyść nie zaprowadziła. Dopiero po drugim rozbiorze, gdy Kościuszko stanął na czele powstania narodowego, powołał on chłopów do walki o wolność i sławnym uniwersałem Połanieckim obdarował ich osobistą wolnością, zapewnił znaczne ulgi w odrabianiu pańszczyzny. Wdzięczny lud garnął się do Naczelnika w sukmanie i w walce z nieprzyjaciółmi ojczyzny złożył dowody wielkiego męstwa i poświęcenia. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie przemoc zewnętrzna, gdyby nie siła brutalna, co położyła koniec istnieniu państwa polskiego właśnie w chwili, gdy naród do nowego, lepszego budził się życia i sam wstępował na drogę zbawiennych zmian, sprawa włościańska byłaby rozwiązaną w duchu sprawiedliwości. Budziło się zwolna sumienie narodu, wołało o prawa obywatelskie dla uciśnionych stanów, dla mieszczan i chłopów, ale niestety to obudzenie przyszło zapóźno i nie zdołało zapobiedz upadkowi państwa polskiego. Szlachetna postać Kościuszki staje obok drugiej niezapomnianej postaci naszych dziejów, obok Kazimierza Wielkiego, i po przez odległe wieki podają sobie dłoń bratnią, bo wszakże:



„Obydwaj uczcili zapomniane sługi
„I kochali lud gołębi, i pierwszy, i drugi..."

Helena Witkowska.

O polskie imię — o polski chrzest!

Obrazek ślązki.

Zawitałam niedawno w okolicę Gliwic. Przyjęta serdecznie przez jednego ze światłych wiarusów i niemniej dzielną jego żonę, zapytałam o imiona dzieci, których piękne i rozumne twarzyczki zwróciły moją uwagę.

— Maks, Adela, Stanisław i Wanda — odrzekła ładna gosposia, a po chwili dodała ze smutkiem:

— Pochowaliśmy niedawno ostatnie, maleńką Bronisławę.

Zastanowiła mię różnica w imionach dzieci: dwoje starszych miały imiona obce, a młodszych troje przepiękne imiona polskie. Zapytałam o przyczynę.

— A bo wiedzą, te starsze dzieci są z tych czasów, kiedy byliśmy jeszcze głupi, a te młodsze dał nam Bóg, gdyśmy już zmądrzeli — odrzekła z pewną dumą ładna gospodyni.

I wzięła mię ochota pochwycenia kobiety tej w ramiona i uściskania za słowa tak proste, a taką niezgłębioną mieszczące w sobie prawdę.

* * *

Od zdarzenia tego upłynął zaledwie tydzień. I znowu w Zabrzu danem mi było pochylić się nad maleńkiem dzieciątkiem, aby je zanieść do Bożej świątyni i wpisać w poczet chrześcijan.

Zapytałam o przyszłe imię dziecięcia. Brzmiało z niemiecka, a dziwny ból przeszył moje serce. Rodzice byli Polakami i oboje ludźmi światłymi, pozwoliłam więc sobie na zrobienie łagodnej uwagi i prośby o „polskie imię".

Po powrocie do domu miałam noc niespokojną.... Widziałam we śnie na jakiejś czarnej tablicy długie szeregi cudackich niemieckich imion. Zmazywałam je i na ich miejsce wpisywałam naszych Janków, Stachów, Miłoszów, Marysie, Zosie i Bożeny.

Lecz zawziętej pracy nie mogłam podołać, bo z boku wysuwały się zdradziecko coraz to nowe zastępy Fritzów, Wilhelmów, Trudów i Gottliebów!

Z wielkim rozmachem zdołałam jeszcze na miejscu jakiejś „Agnes", zakreślić piękne „Wanda" i — zbudziłam się!

Lipcowe słonko stało dosyć wysoko na niebie. Zerwałam się z posłania i w pół godziny później, nieopodal świątyni Pańskiej, oczekiwałam przybycia małej mojej chrzestnicy.

Kropliste rosy ozdobiły trawy, po przez szerokie liście kasztanów słało rozkoszne słonko złociste smugi na ziemię. Zdala, od pól szły wonie zboża i trawy, dobiegały mię dźwięki kosy, a z przeciwnej strony, poza miastem huczały ogromne młoty, jak gdyby duchy ludzkie wzywały olbrzymów na boje. W przyrodzie całej było coś uroczystego, podniosłego, coś, co mimowoli wyrywa duszę w lepsze przestrzenie i kładzie nam na usta modlitwę.

I ja modliłam się, wpatrzona w te cudne blaski i wsłuchana w dalekie głosy....

Modliłam się z tą ducha potegą o polskie imię dla mojej chrzestniczki.

Z kościelnej wieży odezwały się dzwony, głosy ich szły hen, daleko, aż w stronę ziemi Krakusa i mogiły Wandy.

Przyniesiono dziecię. Z zapartym w piersi oddechem i ostatnią błagalną w duszy modlitwą, zapytałam o imię dzieciny.

— Wanda! — brzmiała odpowiedź jej opiekunów, — a mnie się zdawało, że imię to szło po rosie aż po krakowską ziemię, odbiło się o mogiłę Królowej i tysiącznem echem oparło się o Karpaty.

Kiedy w chwilę później maleńką dziecinę podawałam kapłanowi, to z ust płynęła mi najpiękniejsza z modlitw — modlitwa dziękczynienia.

Zdawało mi się, że wraz z Wandy imieniem ocaliłam jednę polską duszę!

* * *

I znowu tegoż samego dnia wieczorem witałam młode, dzielne małżeństwo, które nas przyszło odwiedzić z dwojgiem swych synów maleńkich.

Siłą przyzwyczajenia zapytałam o ich imiona.

Na obliczu ojca odmalowało się coś nakształt zawstydzenia, troski, lecz uczucie to szybko zniknęło z twarzy wiarusa, który mi gromko odpowiedział:

— Starszemu imię Wilhelm, ale widzą, on ma już cztery lata, a wówczas, to my jeszcze nie wiedzieli, że imion takich nie daje się polskim dzieciom. Znaleźliśmy w kalendarzu „Świętego“, do tego „zwycięzcę“ i ot! człowiek nie pomyślał, że i Polacy mieli świętych wielkich i wielkich męczenników. Dziś proszę tylko Boga, by mi dał chłopaczków jeszcze z pół tuzina, a będę wiedział, jak ich nazwać — Bülowowi na pociechę!

* * *

Tym ludziom prostego serca, a wielkiej duszy, którzy do spojenia cegiełek przy budowie Ojczyzny przynoszą choć po wody kropelce niech będzie chwała i cześć!

Czuj - duch.



Czy można ustrzedz się choroby.

Z chorób, nawiedzających nas w wieku dziecinnym, najbardziej groźnemi są te, które pospolicie zwą zakaźnemi czyli zaraźliwemi, a więc szkarlatyna, odra, ospa, koklusz i dyfterya.

Pomiędzy ludem wiejskim istnieje powszechnie wiara w przeznaczenie: co być musi — to będzie. Z tej wiary wynika odwrotnie niewiara w zaraźliwość chorób. A tymczasem ta zaraźliwość istnieje i gdybyśmy starannie zachowywali przepisy co do niestykania się z chorymi, moglibyśmy w wielu wypadkach nieszczęścia uniknąć.

Jeżeli zatem w którejkolwiek chacie zachoruje dziecko na jedną z powyżej wyliczonych chorób — obowiązkiem matek będzie strzedz swoje dzieci, aby z osobami, w owej chacie mieszkającemi, nie miały żadnej styczności. A przedewszystkiem z samemi choremi dziećmi, zdrowe dzieci stykać się nie powinny. Choroby zaraźliwe bowiem przenoszą się z chorego na zdrowego bardzo łatwo. Jeżeli wierzycie w to, że zepsuty ziemniak zarazić może inne ziemniaki zdrowe — wieżcież i temu, że chore dziecko zaraża inne dzieci, ktore bez tego zetknięcia mogłyby zdrowemi pozostać. Jeżeli się tedy we wsi choroba jaka dziecinna pojawi — nie czekajcie lekkomyślnie, aż choroba do was przyjdzie, ale brońcie waszą dziatwę, bo w waszych rękach to ustrzeżenie leży. Bardzo często dzieci przynoszą sobie chorobę ze szkoły. A wynika to stąd właśnie, że większość matek w zaraźliwość nie wierzy i mając dziecko chore w domu, posyłają do szkoły te i inne, które dotychczas są jeszcze zdrowemi, w ten sposób zaraza po

całej wsi roznoszoną bywa. Rzeczą sumienia zatem waszego będzie przerwanie posyłania dzieci do szkoły, jeżeli bodaj jedno dziecko w chacie zachorowało.

O tem, jak te choroby leczyć, nic tu mówić nie będę, jest to rzeczą lekarza, który najprzód musi chorobę rozpoznać, a później właściwe wydać zarządzenia. Bez wprawy odpowiedniej, można często w rozpoznaniu choroby się omylić i złe leczenie stosować. Dlatego nie trzeba przy ciężkiej chorobie z wezwaniem lekarza się ociągać, a już nigdy o poradę do „znachorów“ albo „mądrych“ się udawać. Owe zamawiania, odczyniania nic nie pomogą, grosz z kieszeni wyciągną, a co najgorsza czas zmarnują, a szybka pomoc lekarska dużo przy ciężkiej chorobie znaczy.

Z ospą jest już dzisiaj nie tyle biedy, co dawniej, odkąd zaprowadzono szczepienie małych dzieci. Szczepienie to jest bardzo ważne i dlatego nie trzeba z niem zwlekać, a dobrze jest co kilka lat je powtarzać. Szkoda wielka, że takiego szczepienia nie znają jeszcze przy innych chorobach, szczególniej przy szkarlatynie, na którą tyle dzieci mrze. Ale uczeni ludzie ciągle nad tem myślą i pracują i być może, że niedługo i na inne choroby również jak dla ospy szczepionki pomocne wynajdą. Oto wynaleziono już bardzo pomocne lekarstwo przy dyfterycie, a mianowicie zastrzykiwanie surowicy z krwi końskiej odpowiednio przygotowanej, dalej wynaleziono szczepienie przeciw wściekliźnie i tężcowi, jest zatem nadzieja, że z czasem nie będziemy wobec chorób tak bezradni, jak to do niedawna było. *K. Bujwidowa.*



O Morskie Oko.

Wśród przepięknych naszych Tatr, między najwyższymi szczytami tych ukochanych gór polskich, leży jezioro, zwane dla swej niezgłębionej toni, Morskiem Okiem. Okolica tego jeziora jest tak wspaniała, że podróżni nietylko z Polski całej, ale i z dalekich krajów Europy zjeżdżają się tam corocznie, aby zwiedzać te urocze strony i zachwycać się cudami natury. Przez długie, długie wieki ten szmat ziemi i ta woda jeziora polską była własnością, i nikt nigdy nie kusił się zaprzeczać nam praw naszych do tego. Aż dopiero od kilku lat, gdy pewien Prusak, książę Hohenlohe zakupił dobra na Węgrzech w pobliżu naszej granicy, zaczął wmawiać w Węgrów, że brzegi Morskiego Oka powinny do Węgier należeć. Jakoteż, bez pozwolenia władz, zajęła jego służba część ziemi nad tem jeziorem i zaczęła tam, jak we własnych majątkach gospodarzyć. Nawet ośmielili się budować szałasy czyli domki letnie z drzewa, dla polujących w tamtych stronach gości owego Prusaka. Nasi jednak górale tatrzańscy nie dali sobie pluć Niemcowi w kaszę. Wystąpili przeciwko służbie Prusaka groźnie, owe szałasy spaliły się — a nawet gdy żandarmi węgierscy bezprawnie na tych miejscach się ukazali, górale zmusili ich do ustąpienia.

Wreszcie i całe społeczeństwo polskie oburzyło się na zuchwalstwo Węgrów i dotąd o sprawiedliwość wołało, aż wreszcie rząd austryacki wdał się w tę sprawę i nakłonił Węgrów, iż ziemię tę nazwano „sporną“ i w celu rozsądzenia, komu się ona należy, sąd polubowny czyli ugodowy zwołano. W skład sądu tego weszło dwóch Polaków pp. Tchórznicki i Balcer — oraz 2 Węgrów pp. Lechocky i Bölcs, a najwyższym arbitrem czyli rozjemcą, który po rozpatrzeniu sprawy wyrok ostateczny miał wydać, był mądry Szwajcar, p. Winkler. D. 20 sierpnia zjechał ten sąd do Gracu, daleko za Wiedniem i tam tak Polacy jak i Węgrzy bronili swoich praw do Morskiego Oka, poczem wyjechali sędziowie na miejsce do Zakopanego i nad Morskie Oko, aby naocznie przekonać się, kto ma słuszność, a potem znów do Gracu, gdzie dalej spór ten rozstrzygali. Dnia 13 września dopiero Winkler wyrok ogłosił, a jako mądry i sprawiedliwy sędzia nic przyznał kawałka naszej Ojczyzny zaborczym sąsiadom, tj. Węgrom, lecz przysądził Morskie Oko Polsce.



Wiec narodowy.

W czasie obchodów grunwaldzkich powstała myśl urządzania wieców narodowych, celem porozumienia się i zbliżenia na polu pracy narodowej we wszystkich trzech dzielnicach Polski.

Wzmagające się w ostatnich czasach prześladowanie narodu polskiego w zaborze pruskim, trwający nieprzerwanie ucisk w zaborze rosyjskim oraz rozliczne ujemne warunki rozwoju narodowego w Galicyi i na Śląsku austr. wkładają na Polaków obowiązek wytężenia wszystkich sił do walki obronnej.

Tę podejmą wiece, w których powinniby uczestniczyć przedstawiciele wszelkich narodowych kierunków, ze wszystkich zaborów i wychodźctwa.

Pierwszy taki wiec narodowy odbędzie się we Lwowie w roku bieżącym, w terminie, który później się oznaczy.

Wszelkie starania około pierwszego wiecu narodowego poczyni komitet, w tym celu zawiązany.

Aby zapewnić temu ważnemu dziełu narodowemu powodzenie, komitet musi ogarnąć ogół Polaków, a zatem nie pominie żadnej warstwy społecznej, żadnego wyznania, żadnego stronnictwa.

Zadanie pracy narodowej, oprócz uświadomienia narodowego rozmaitych warstw społeczeństwa i szerzenia zasad i uczuć patryotycznych w ogóle, zmierzać będzie do obrony polskości przed wpływami wynarodowiającymi, a także do obrony polskości wszędzie, gdziekolwiek ona jest zagrożoną i pielęgnowania łączności między różnemi dzielnicami Polski i z wychodźctwem.

Dla uporządkowania tej roboty, należy połączyć wszystkie Towarzystwa patryotyczne w kraju w jeden Związek, który umożliwi łatwiejszy przegląd pracy i skierowanie wysiłków na miejsca najwięcej zagrożone.

I tak, na polu oświaty ludowej czynne są u nas różne Towarzystwa, jak Towarzystwo Oświaty Ludowej, Tow. „Szkoły ludowej“, Tow. Uniwersytetu ludowego, Powszechne wykłady uniwersyteckie, wreszcie różne Towarzystwa wydawnicze i t. d., które ze sobą nie mają styczności, a skutkiem tego nie można skupić ich szlachetnych dążeń w pewnym kierunku.

W niejednej gminie możnaby skutecznie dopomódz ludności polskiej w walce z naporem żywiołów, polskości wrogich, gdyby zajęły się tą gminą równocześnie i Towarzystwo „Szkoły ludowej“ przez ufundowanie ochronki i Towarz. Oświaty przez założenie czytelni, dalej Towarz. Kółek rolniczych przez urządzenie Kółka, Tow. spółek oszczędności i pożyczek przez zawiązanie spółki spożywczej, wytwórczej, pożyczkowej lub oszczędności; gdyby tam nawet osiadł „Sokół“ i odbywały się odczyty publiczne w duchu narodowym. W ten sposób połączona praca przyniosłaby obfite owoce.

Ponieważ zaś obowiązkiem każdego Polaka jest, choćby skromną roczną ofiarą, przyczynić się do roboty narodowej, Związek zatem mógłby gromadzić także osoby, do żadnego Towarzystwa nie należące, a z ich wkładek rozdzielać udziały według uznania na poszczególne Towarzystwa.

Uchwalenie planu takiego Związku, będzie jednem z głównych zadań wiecu narodowego.

Walka z niemczeniem nas na polu językowem winna być prowadzona codziennie i na każdym kroku.

Więc należałoby napisy niemieckie na sklepach usuwać. Handlów z niemieckimi napisami publiczność polska ma unikać.

Z restauracyj, kawiarń i innych lokalów publicznych mają być wyrzucone pisma niemieckie polakożercze. Publiczność ma się tego stanowczo domagać, a gdzie zadość nie uczynią żądaniu, tam nie uczęszczać.

Na kupieckie listy niemieckie należy odpowiadać po polsku, lub listy te zwracać jako niezrozumiałe.

W ogóle osoby, używające w codziennem życiu języka niemieckiego, należy uważać za obce dla narodu.

Jest także obowiązkiem każdego obywatela czuwać, aby w stosunkach ze stronami nie naruszano praw języka polskiego w urzędach, w których rozporządzenia ministeryalne używanie języka polskiego nakazują.

Ale najważniejszem tu jest popieranie przemysłu krajowego.

Liczyć się trzeba naprzód z tem, że popieranie przemysłu tam, gdzie on jest jeszcze w zawiązku wymaga patryotycznej ofiarności całego społeczeństwa.

Naturalnie, że najgorliwsze nawet popieranie przemysłu ze strony społeczeństwa, osłabnąć wkrótce musi, jeśli sami wytwórcy nie poczuwaliby się do obowiązku jak najszybszego zdążania za postępem, tak co do jakości jak i co do ceny swych wyrobów. Stwierdzić też można, że w pewnych gałęziach przemysłu towar krajowy już obecnie odpowiada tym wymogom.

Nabywaniu wytworów rodzimego przemysłu stoi na przeszkodzie nietylko stosunkowo wyższa niejednokrotnie cena, lecz daleko więcej moda, ślepo naśladująca zagranicę w ubiorach, strojach meblach i w innych potrzebach. Sprawa więc popierania przemysłu krajowago łączy się ze sprawą reformy obyczajów.

Należy działać w tym duchu, aby wprowadzić u nas modę patryotyczną wyrobów krajowych, jak to czyniono dla poparcia przemysłu na Węgrzech i w innych krajach. Jeśli wprowadzimy u nas modę rodzimą, polską, opartą na wzorach narodowych, a zalecającą materye i wytwory krajowe, pozbędziemy się tandety ubrań i innych artykułów niemieckich. Trzeba

nam tępić wszelki zbytek, wystawność, przepych, posługujący się obcymi wyrobami, jako rozpustę narodową.

Oprócz prostoty w obyczaju, która daleką jest od prostactwa, należy oszczędność i trzeźwość podnieść do godności cnoty narodowej i uczynić ją źródłem ofiarności na cele narodowe. Wypleńmy zwłaszcza karciarstwo i gry różne, a zajmijmy umysł poważniejszymi rozrywkami.

A prostota i powaga, oszczędność, trzeźwość, i ofiarność na cele narodowe, nietylko odznaczać ma każdego prawego Polaka, ale ujawniać się także we wszystkich zebraniach towarzyskich, w zabawach i uroczystościach.

Również wiec zajmie się przeprowadzeniem potrzeby nadania szkolnictwu ludowemu i nauce domowej wyraźniejszej cechy narodowej.

Obchody narodowe są ważnym czynnikiem w rozbudzaniu świadomości narodowej i w ożywianiu zapału patryotycznego.

Dobry pomysł nalepiania kartek na oknach zamiast ich oświetlania, wprowadzony w rocznicę Grunwaldu, przyjąć się powinien jako stały obyczaj, obowiązujący w dniu 3 maja i w inne święta narodowe.

Także zamiast posyłania powinszowań noworocznych i zamiast innych zbytecznych wydatków należy uczestniczyć w składce narodowej.

Godną szerzenia jest też myśl dobrowolnego opodatkowania się na cele narodowe.

W końcu wiece narodowe popierać będą w miarę środków, wszelką robotę w rzeczach użyteczności publicznej.

Tyle ważnych i pożytecznych spraw będzie na wiecu tym omawianych, że trzeba, abyście nań jak najliczniej przybyli i w obradach żywy wzięli udział.



Jubileusz Maryi Konopnickiej.

Dzień 19 października będzie dniem bardzo uroczystym dla nas. Obchodzimy bowiem dnia tego ćwierćwiecze pracy literackiej, największej naszej poetki, miłośnicy ludu i głęboko czującej obywatelki: Maryi Konopnickiej, którą znacie z wierszy i powiastek jej tu, w *Przodownicy* zamieszczanych, oraz z kilkakrotnie o niej czynionych w tem pisemku wzmianek.

Na dzień ten Kraków, gdzie jubileusz się odbędzie, przywdzieje wspaniałą, odświętną szatę, bo nietylko wszyscy mieszkańcy grodu tego witać będą ukochaną pieśniarkę w swych murach, ale tłumy ziomków z różnych stron wielkiej a rozdartej Polski przybędzie, aby hołd i cześć i miłości a wdzięczności słowa i dary i adresy i uznanie u stóp szanownej jubilatki złożyć. A w kole tych, na uroczystość zewsząd zbiegłych tłumów, nie zbraknie żadnego stanu; będą tam panowie możni, duchowni, ludzie uczeni, wielcy artyści, a także i ubodzy, robotnicy i żydzi i włościanie, a tych będzie bardzo wielu, bo tych Konopnicka może najwięcej ukochała i najserdeczniej ich dolę odczuła, a w pieśniach swych wyśpiewała. Również i kobiet zbiegnie się ze wszystkich warstw społecznych na jubileusz ten mnóstwo, a między niemi i wieśniaczek dużo. Przybędą z kwiatami, kłosami, ze łzami rozczulenia i życzeń snopem, a wielka poetka, kobieta o brylantowem sercu, przytuli je do swego łona i zespoli się z niemi i jeszcze ściślejszymi węzłami jedności połączy, aby w tych wszystkich piersiach jeden boży duch zamieszkał i jedno światło umysły wszystkie przeniknęło.

Więc pospieszcie i Wy, miłe Czytelniczki *Przodownicy* do Krakowa na dzień 19 października, w niedzielę, strojne, piękne, uśmiechnięte, radosne, z sercami pełnemi miłości i wdzięczności dla waszej najlepszej przyjaciółki, która Wam pieśni swe jak perły drogocenne rozdaje na pociechę i ukojenie, na radość i ból waszego żywota.

A przedtem jeszcze podpisujcie adresy, które Wam rozesłałyśmy wraz z *Przodownicą* lipcową i nadsyłajcie do redakcyi naszej najpóźniej po dzień 1 października. A która z Was chce przybyć na jubileusz, niech napisze do nas, bo musimy Wam gościnę przygotować i nocleg i przyjęcie dobre....

Zatem do zobaczenia się w październiku.



Włościanie wobec jubileuszu Konopnickiej.

W dniu 3 b. m. odbyło się w lokalu Czytelni dla kobiet posiedzenie komitetu włościańskiego, które zagaił b. poseł Wójcik. Zaznaczywszy, że ideałem Konopnickiej jest zjednoczenie narodu. podniósł p. Wójcik, że i włościanie tworzą własny komitet, celem uczczenia wielkiej poetki i zamierzają złożyć jej osobny dar od siebie. P. Marya Siedlecka powitała serdecznie przybyłych włościan i zaprosiła ich do komitetu. Następnie zabrał głos p. Butrymowicz, zaznaczając, że jubileusz Konopnickiej, to akt sprawiedliwości i wdzięczności. Włościanie byli zawsze pierwsi w sercu jubilatki, która z gorącą miłością w pismach swych zawsze się do nich zwracała. Włościański komitet jubileuszowy będzie dla niej wymownym i radosnym objawem wdzięcznych uczuć ludu polskiego. Wspomniawszy następnie o zamierzonem popularnem wydawnictwie dzieł jubilatki, zachęcał gorąco do uczczenia poetki.

Przewodniczącym wybrano jednomyślnie posła Wójcika, zastępcą przewodniczącego posła Bojkę, sekretarzem p. Włodzimierza Tetmajera, zastępcą sekretarza p. Jana Bartyzela z Cholerzyna, skarbnikiem p. Antoniego Cepucha z Bronowic Wielkich, zastępcą skarbnika Stanisława Słowika z Bierzanowa. Na wniosek p. Siedleckiej wybrano delegatów z powiatów, którzy zbierać będą adresy dla Konopnickiej. Uchwalono następnie rozesłać listy składkowe do komitetowych, oraz wpisywać także kobiety do komitetu ogólnego. Po odczytaniu przez p. Butrymowicza wiersza parobka wiejskiego Bugaja na cześć Konopnickiej, p. Wójcik zamknął posiedzenie.



Bracia Włościanie!

Coraz częściej zdarza nam się sposobność wystąpienia gromadą, razem jako lud Polski, w sprawie pospolitej i patryotycznej. Za każdym razem mają ludzie dobrej woli i szczerej wiary sposobność stwierdzenia swych wierzeń w jasną przyszłość, stwierdzenia, że przyszłość tę lud Polski niesie.

Zdawna to już przeczuwali kochający kraj ludzie, zdawna chwilę tę przepowiadali wieszcze. A przepowiadali i czuli to ci, co już w ciemnej nocy widzieli wieszczym duchem jasne dnia świtanie, co wierzyli, że ten zapomniany, często pogardzony syn Ojczyzny, chowa w duszy nieskażone zadatki przyszłego rozwoju, który nie będzie miał w sobie ukrytego ziarna śmierci i upadku.

Ci ludzie oddawna już wołają do polskiego społeczeństwa: „Nie traćcie ducha i odwagi! bo oto poza obrębem waszych siedzib miejskich i waszych dworów, żyją miliony Polaków, młodych, silnych, zdrowych!... tam się zwracajcie! bo tam świt i tam odrodzenie!...“

Czuli to już i wiedzieli o tem niektórzy z królów polskich, ale nie mieli dość siły i możności, żeby dokonać dzieła. Ale przedewszystkiem zrozumiał to Naród w chwili nieszczęścia i upadku.

A pierwszym, co miał odwagę pójścia naprzeciw przesądom i niesprawiedliwości, był nieśmiertelny Naczelnik Kościuszko.

Po Kościuszce, już ciągle wszyscy ludzie dobrej woli tę samą pieśń na ustach mają.

I Mickiewicz i Słowacki i jeden po drugim, wszyscy prawie duchowi przewódcy Narodu ciągle wołają: „Lud! Lud!...

Więc dzisiaj, gdy święcimy święto pracy jednej z tych czystych polskich dusz, co idąc w ślady poprzedników, od lat szeregu woła z miłością i wiarą, że: „kto polskie ma w piersiach serce, niech kocha polski Lud, niech wierzy, że nie kto inny, tylko On odrodzi Ojczyznę, niech z Nim idzie, z Nim żyje, z Nim myśli i z Nim pracuje“ — dzisiaj słuszną jest rzeczą, abyśmy wszyscy murem powstali i hołd zanieśli Tej, co w nas wierzy.

A wiecie Bracia jak skutecznem dla duszy i myśli ludzkiej winem jest pieśń.

Gdy wódz chce zagrzać żołnierzy do boju, każe grać wojsku pieśni, co ich rozpalają.

Gdy mówca chce ruszyć tłumy słuchaczów i poprowadzić ich do działania, zaśpiewa im pieśń, co ich jak wino upoi i serca rozpali i głowy.

Pieśń dusze ludzkie odrywa od codziennego trudu i pracy, a wiedzie ludzką myśl do większych rzeczy, do szczytnych celów, pieśń daje odwagę i zapał, uszlachetnia umysł.

Bo dar tworzenia pieśni jest darem Bożym, więc często pieśnią większych dokonać można rzeczy, niż zimnym rozumem ludzkim.

Kto więc tym darem Bożym pochlubić się może, ten większą posiada moc obudzenia ze

snu ludzkiej duszy, niż mędrzec uczony, choćby wiele ksiąg napisał.

Taką to pieśnią budzi Naród Marya Konopnicka od lat już wielu.

Tą pieśnią wypowiada wiarę w Nas, w Lud polski, tą pieśnią uczy i przekonywa Naród cały, że chłopa polskiego kochać trzeba i wierzyć, że On odrodzi kraj i nie gardzić nim, ale szanować Go za to.

A pieśni słucha Naród cały i zapala się nią i upojony zwraca się tam, gdzie woła Poetka.

I jakżeż nam dzisiaj nie stanąć razem przy tym święcie, żeby uczcić Tę, co i bóle nasze wyśpiewała i wiarę w nas wyśpiewała i wyśpiewała całej Polsce tę jasną nadzieję, że wstanie i żyć będzie, a żyć będzie przez nas, przez polski Lud!

Spieszmy tedy złożyć hołd do Jej stóp!

Stańmy jak najliczniej, stańmy nie zważając na domowe swary, stańmy upojeni Jej pieśnią, wdzięczni za to, że o nas śpiewała, stańmy okazać Narodowi, że miała słuszność, że na nas się nie zawiedzie, bo czynem potwierdzić chcemy położoną w nas nadzieję!

Niechaj, kto żyw, przystąpi do wielkiego Komitetu chłopskiego, co uczci Jubilatkę w dzień Jej święta — bo pokazać chcemy Narodowi, że żyjemy, że jesteśmy, i że może liczyć na nas w dniu nieszczęścia, w dniach gniewu Bożego!

Franciszek Wójcik, przewodniczący. *Jakób Bojko*, zast. przewodniczącego.

Włodzimierz Tetmajer, sekretarz.





Henryk Siemiradzki.

Wielki ten i bardzo ceniony polski malarz, zmarł w swej wiosce w Królestwie Polskiem. Był to artysta na wskroś narodowy, chociaż większą część życia swego przepędził na obczyźnie, we Włoszech, i chociaż za treść do swych obrazów brał najczęściej starożytne, z rzymskich lub greckich czasów wydarzenia. Najbardziej znanym jest obraz jego p. t. „Pochodnie chrześcijaństwa“, przedstawiający cesarza rzymskiego, okrutnego Nerona, który prześladując pierwszych chrześcijan za wiarę, kazał ich owijać w słomę, nasyconą smołą, przywięzywać do pali wysokich, i w ogrodach swych, wieczorem, jako żywe pochodnie zapalać. Obraz ten, wzbudzający w widzach uczucie zgrozy i przerażenia, prześlicznie jest malowany, a znajduje się w Muzeum Narodowem w Krakowie. Siemiradzki podarował go narodowi swemu, aby mógł Muzeum, t. j. zbiór dzieł sztuki polskiej utworzyć. Inny jego obraz znajduje się również w Krakowie, w teatrze miejskim i stanowi kurtynę czyli zasłonę od sceny. Przedstawia ona w środku siedzącego anioła sztuki, z prawej strony od widza postacie, wyobrażające taniec i muzykę, na przodzie u dołu komedyę czyli wesołe utwory sceniczne, po lewej stronie dramat i tragedyę, czyli smutne dzieje ludzkiego życia. Wiele, wiele jeszcze innych pięknych obrazów wymalował Siemiradzki, a imię jego sławnem i głośnem stało się w całej Europie.



Opis obrazów Artura Grottgera

p. t. „Wojna“

które obecnie dodajemy do *Przodownicy*. Obrazów tych będzie 11.

(Ciąg dalszy).

4. Odjazd na wojnę.

Spokojna wieś rozbrzmiewa szczękiem oręża, grzmią fanfary, a hufce jezdnych spieszą na wojnę, pędzą w dal. Jeden tylko jeździec zwrócił konia, wzrok w tył rzucił i jeszcze ręką żegna drogą małżonkę, co z anielskiem niemowlęciem na ręku wraca do domu opustoszałego, próżnego, bo nie masz w nim więcej drogiego małżonka, nie masz radości, nie masz rozkoszy.

Na ponurem niebie czarne zbierają się chmury, złowrogie, groźne, jakby świat cały zetrzeć chciały. Nad głowami wojowników unosi się stado kruków, kracząc pieśń grobową i wyglądając z chciwością rychłej biesiady. To zwiastuny śmierci.

Na twarzy kobiety, pełnej boleści, jaśnieje jeszcze promyk nadziei: może wróci, wszak nie wszyscy na wojnie umierają? Daremna ułuda.

„Prędzej w źródle wyschnie woda,
Góra się z mogiły wzbije,
Niż go ujrzy siostra młoda.
Niż go oczy ujrzą czyje“.

5. Pożoga.

Oblegli miasto! ze wszystkich stron je otoczyli i całą swą wytężają siłę, by je zdobyć. Tysiąc armat zionie ogniem, działa grzmią i posyłają śmierć w szeregi obrońców, ziemia drży od huku strzałów i kopyt końskich, miasto się pali, dym jak chmura zalega powietrze, w którem jęki rannych i krzyki walczących się mięszają, — co za dziki zamęt!

Miasto, co niedawno jeszcze ufne w silne wały, obronne mury i odwagę swych obrońców, urągało nieprzyjacielskim zastępom, jakże straszny przedstawia widok. Okrutny wróg wszystkie żywioły wezwał na pomoc, ogień jego bateryi wznieca pożogę i szerzy zniszczenie po wzburzonych ulicach, obracając je w perzynę. Gdzież ludzie? gdzież obrońcy? Wszystko, co do broni zdolne, od młodzieńca do starca, oni wszyscy tam, na wałach, wszyscy poszli na niechybną śmierć, pożegnawszy swe rodziny, które pod opieką słabych, lecz doświadczonych starców zostawali w domach.

Już ich więcej nie zobaczycie, tych, za których walczycie. Oto rakiety nieprzyjacielskie zapalają wam domy wasze, a wy nie poznacie ich więcej, bo na ich zgliszczach wróg zatknie sztandary, po waszych trupach.

Wróg już zdobył twierdzę; miasto upadło, bo mu obrońców nie stało. Kto żyw, biegnie, by choć z swą rodziną i małą chudobą ujść mszczącemu ramieniu srogiego żołdactwa. Zapóźno! przed wami wróg czyhający, za wami miasto w płomieniach — wyście zgubieni!

O próżny świecie, co miłością się chełpisz, i ty wieku dumny, co cywilizacyą się szczycisz! patrz, jakich strasznych ofiar i krwawych hekatomb potrzeba, by ukoić twą żądzę sławy, by zaspokoić twe okrucieństwo.

6. Głód.

Tu szalała bitwa. Jeszcze dymy wznoszące się ze zgliszczów i ruin nie dozwalają dojrzeć słońca, co jakby w smutku się skryło, by nie patrzeć na te ołtarze ofiarne, na których ludzie zabijają swe własne pokolenie, jak Kain swego brata. Dookoła zniszczenie.

Przed chwilą falowały tu jeszcze srebrne łany plonu, nadzieja rolnika, sto rąk ciągle było w ruchu, zajętych dziełami pilności i słodką pracą pokoju, tu mieszkał ład i dostatek — teraz nędza i głód.

Ludzie i zwierzęta błądzą całymi dniami po polach i lasach, pozbawieni najkonieczniejszych środków do życia — bez chleba. Szczęśliwy, kto zdołał się schronić w odległe ustronie, by zdala od krwi i jęków posilić znużone członki.

Pod rozłożystą lipą, w miejscu wesołych zabaw w lepszych czasach siedzi rodzina, niedawno jeszcze zamożni i dobroczynni, dziś bez dachu, bez chleba. Matka zawsze pełna miłości i poświęcenia bez granic, zdołała unieść ze sobą kawał chleba, który przezornie między głodne rozdziela dziatki. One do lepszej strawy przyzwyczajone, a jednak, jak chciwie wyciągają swe wychudłe rączęta. Serce się ściska biednej matce, sama sobie odmawia pokarmu, zachowując resztę dla dzieci! O! jakże im się przyda ten kawałek spleśniałego chleba. Głód jej dokucza, z jej oczu blada wygląda śmierć, ale czyżto tak wielka ofiara dla matki okupić śmiercią, choćby chwilę życia swych dzieci?

Ojciec z szeroko roztwartemi oczyma spogląda w dal. Dla niego nie masz teraz rodziny, w której czarownem kole panuje tylko duch matki, dla niego istnieje teraz zagrożona Ojczyzna. Tam w dali, wre bój, tam walczą, stamtąd dojdzie go może okrzyk tryumfu zwycięskich ziomków lub wieść o ich bohaterskiej śmierci.

On teraz nie ojcem, on tylko synem Ojczyzny, on obywatelem, co gotów każdą złożyć ofiarę *„pro publico bono“* (dla dobra ogółu).

(Ciąg dalszy nastąpi).



SPORYSZ.

Sporysz usuwa się, a raczej zapobiega się pojawieniu jego, siejąc czyste żyto, a więc nie zarażone tym pasożytem. Osięga się to w rozmaity sposób. Po pierwsze nieuniknionem jest, że wiele sporyszu wypada z kłosów na ziemię przy sprzęcie, czemu jednakże dałoby się zapobiedz częściowo przez wczesny sprzęt żyta, gdy zboże mniej albo wcale się jeszcze nie kruszy. Jeśli jednakże żyto bardzo jest zarażone sporyszem tak, że dużo go widać w kłosach, wtedy można takie kłosy z niego obrać, używając do tego dzieci, gdyż sporysz widać z daleka, osiągając zań choćby tylko grosz wydany na obieranie, tem łatwiej, że cena jego jest dość wysoką. Wiele sporyszu odciągnąć można w młynach lub przez wianie zboża szufią. Najlepiej jednakże użyć w tym celu umyślnego sita, przez które przeleci wszystko zboże, a sporysz zostanie na sicie. Bydłu nie można dawać sporyszu, (ani go też nie trzeba wrzucać do kompostów), gdyż inwentarz mógłby się nim potruć z łatwością. Profesor Frank dowodzi, że w okolicach, gdzie pojawia się dużo sporyszu, w życie powinno się usuwać z pobliża obsianych żytem pól wszelkie dziko rosnące, a także przez sporysz nawiedzane chwasty i trawy, jak: perz, trzęślicę *(Molinia coerulea)*, mannę, a nawet rajgras angielski. Z traw tych dostają się zarodki sporyszu na żyto z wiatrem lub za po-

średnictwem owadów i tam szerzą te spustoszenia. Najwięcej bywa sporyszem zanieczyszczonego żyta na brzegach pól, przy rowach, miedzach i t. p. Należałoby wymienione wyżej trawy kosić zanim zaczną kwitnąć, aby zapobiedz rozwijaniu się ich na sporyszu.



ROZMAITOŚCI.

Cesarz Wilhelm, zwany od ostatniej przemowy w Malborgu, Malborczykiem, wraz ze swoją małżonką przybył do Poznania w dniu 2 września. Uroczystość cała była niczem innem tylko paradą wojsk niemieckich i zgromadzeniem napędzonych Niemców ze wszystkich stron Poznańskiego i Górno-Śląska. Polacy bowiem, prócz kilku, nie brali udziału w tej wszechniemieckiej paradzie. W przemówieniach swoich w Poznaniu, cesarz Wilhelm zaznaczał dążność do zagłady żywiołu polskiego i że jego zadaniem jest dokładać wszelkich sił, aby Księstwo Poznańskie uczynić na zawsze prowincyą nietylko pruską, ale dobrze niemiecką. To znaczy, aby Polacy w Księstwie Poznańskiem mieszkający, zostali Niemcami i pozbyli się wspomnień i uczuć narodowych.

Ale naród nasz silny i żywotny, a że nim jest, daje tego tysiączne dowody, bo duch narodowy podnosi się i potężnieje, obejmując wszystkie warstwy, nawet dotąd narodowo nieuświadomione — warstwy ludu — naszego wiejskiego i miejskiego roboczego. W każdej dziedzinie, czy to nauki — czy sztuki — przemysłu — czy handlu — wszędzie postępujemy i podnosimy się. A nawet kobiety — te ciche pracownice — przy ognisku domowem spędzające swe życie, poznają już obowiązki Kobiety-Polki — i w nich budzi się duch dzielnych bohaterek polskich: Wandy i Jadwigi.... I one żywo odczuwają krzywdy, jakie się ich dzieciom, braciom, mężom, ojcom dzieją — i stają do walki w obronie praw narodowych. A ich bronią to praca nad podniesieniem ducha narodowego, nad ukochaniem wszystkiego, co swoje, co nasze. — Rośniemy więc i rozwijamy się, a nikt, ani potężny Prusak, ani okrutny Moskal, ani inny nieprzyjaciel wiary, mowy naszej i mienia naszego wydrzeć nam nie może, bo nie ma sił, by nas zniszczyć! — Nie damy się.

W Poznaniu zabroniono mówić po polsku na zebraniach.

Stowarzyszenie „Przytulisko" rozwiązano dlatego, że panie, które najbiedniejszą dziatwą się opiekowały, rozmawiały z dzieciakami po polsku. Obecnie nie wolno nawet w domu prywatnym uczyć dzieci języka polskiego.

Na Górnym Śląsku rewizye prawie codziennie się odbywają po domach prywatnych.

W szkółkach ludowych nauczyciele Niemcy — i zniemczeni Polacy, jak ohydny i wyrodny Koralewski, zmuszają dzieci biciem do mówienia po niemiecku, lub grożą wysłaniem do „szkoły poprawczej", gdzie dzieci przez dwa lata muszą uczyć się po niemiecku i nie wolno im się widzieć z rodzicami tylko raz w roku. Dodać jeszcze należy, że obchodzenie się z dziećmi w takiej szkole jest okrutne.

Narady śląskich hakatystów Niemców. *Dziennik Poznański* donosi, iż w Gliwicach odbyła się walna narada hakatystów śląskich, nieprzejednanych wrogów polskich. Na naradzie tej obradowano nad sposobem zwalczania Polaków.

Zakaz sprzedawania polskich książek do nabożeństwa. W Nowej Cerkwi pod Pelplinem, w Prusach Zachodnich, podczas tegorocznego odpustu Nawiedzenia Najśw. Maryi Panny, zakazali żandarmi, jak donosi *Gazeta Gdańska,* sprzedawania nietylko polskich książek do nabożeństwa, ale nawet i obrazków z modlitewką.

Okrucieństwa księcia Oboleńskiego, Moskala, są dziś przedmiotem ciągłych rozmów wśród ludu moskiewskiego. Jak wiecie, drogie Czytelniczki, Moskal jest okrutnym i srogim dla Polaków nieprzyjacielem, ale jest on również barbarzyńcą dla swoich poddanych. Oboleński, gubernator w Charkowie, dopuścił się następującego czynu:

We dworze jego, w Aleksiejewku, zjawiło się u niego pięciuset nędzarzy. Mężczyźni pieszo, kobiety i dzieci na wozach. Powiedziano tym ludziom, chcąc ich obałamucić, że teraz na rozkaz cara w całej Rosyi wolno chłopom zabierać i pomiędzy siebie rozdzielać wszystko, co pańskie. Dla tego też prosili zarządcę, aby im oddał klucze od spichrzów i stodółek.

Zamiast temu ciemnemu ludowi wytłomaczyć, że takich ukazów nie ma i nie było, i że nikomu nie wolno sięgać po cudze mienie, cóż czyni książę Oboleński? Wezwał z najbliższej stacyi Kozaków i ci, gdy otoczyli i spędzili lud na dworski dziedziniec, książę krzyknął: „Czapki z głów! Na kolana! Jesteście buntownikami, wrogami cara i ojczyzny, a dla wrogów Rosyi mamy kule, bagnety i knuty! Dla was będą knuty!" Chłopi uklękli i z ziemi, z obnażonemi głowami, słuchali gubernatora.

Rozległa się komenda: „Knutować!" i zaczęło się bicie, podczas którego chłopi musieli klęczeć. Bito nielitościwie; knuty kozackie są owinięte drutem i opatrzone są na końcu kawałkiem ołowiu. Bito tak długo aż Oboleński kazał zaprzestać. Następnie gubernator pozwolił kobietom i dzieciom pójść do domów, mężczyźni musieli pozostać. Przy pomocy urzędników dworskich poczęto wybierać z pośród pozostałych; wybranym rozkazał Oboleński rozebrać się do koszuli. I znowu zaczęło się katowanie. Kiedy gubernator char-

kowski nasycił się widokiem krwi, kazał wybiczowanym pouklękać i tak czekać; ktoby usiłował zbiedz, miał zostać rozstrzelanym.

Oboleński poszedł do zarządcy na śniadanie, które trwało do godziny 3 popołudniu. Przez cały ten czas na dziedzińcu klęczeli chłopi z obnażonemi głowami, strzeżeni przez Kozaków. Wkońcu zjawił się znowu Oboleński i zarządził ponowny wybór wrzekomych podżegaczy, których poraz trzeci wybiczowano, tym razem rózgami umaczanemi w gorącej wodzie ze solą. Po ukończeniu tej trzeciej kary, chłopów zaprowadzono do stodoły, skąd ich następnie przesłano do pobliskich więzień.

Oboleński jest tak znienawidzony, że nikt tam nie wypowie jego nazwiska bez nienawiści i oburzenia. To też w ostatnich czasach uczyniono zamach na życie tego okrutnika.

Naoczny świadek klęski na Martynice, Amadeusz Knight, który niedawno przyjechał z Martyniki do Paryża, opowiadał, że jest rzeczą bardzo trudną, a nawet niepodobną, opowiedzieć o tej katastrofie. Knight utracił skutkiem wybuchu, ojca i prawie całą rodzinę zamieszkałą w Saint Pierre. Człowiek ten, wskutek tych strasznych wypadków, zupełnie jest duchowo złamany. — Straszliwa groza katastrofy — mówił on — zniszczyła u widzów wszelką zdolność wypowiedzenia tego, co zobaczyli.

W dzień katastrofy — mówił on — okręt „Marie Helene“ miał wpłynąć do portu Saint Pierre. Kapitan okrętu, stary marynarz, stał na pomoście komendanta. Na widok okropnego zjawiska, które przedstawiło się jego oczom, nie mógł wogóle pojąć, co się właściwie dzieje w Saint Pierre. Opanowała go szalona trwoga. Przywołał pewnego majtka, wskazał mu wybrzeże i zapytał: „Co widzisz tam?“ Człowiek spoglądał długo przed siebie, wstrząsał nim jakiś dreszcz lęku, wreszcie wyszeptał: „Nie widzę nic, kapitanie“.... Biedak nie mógł znaleźć słów, aby określić to, co się rozgrywało przed jego oczyma.

„Ależ patrz lepiej i powiedz mi, co tam widzisz?“ pytał znowu kapitan. „Nie wiem“ — odpowiedział majtek, a potem ujął swą głowę obiema rękami i krzyknął: — „Jezus, Marya! Tracę zmysły!“....

Trzęsienie ziemi a zwierzęta. Jednem z najdziwniejszych zjawisk z historyi wybuchu wulkanicznego na Martynice jest fakt, że prawie cały świat zwierzęcy tej wyspy przewidział katastrofę. Jak donosi pismo londyńskie „Tit-Vits“, konie np. zachowywały się tak niespokojnie, iż wprost niepodobna było nimi kierować; psy wyły ustawicznie i okazywały ogromny niepokój, węże, mające swe legowiska w sąsiedztwie wulkanu Mont Pelée, opuszczały je gromadnie, a nawet ptaki umilkły i opuściły tę okolicę. — Działo się to w kwietniu, na kilka tygodni przed wybuchem. A wszystkie te zjawiska w świecie zwierzęcym były zupełnie podobne do tych, jakie poprzedziły wybuch Wezuwiusza, który zasypał Pompeę (w 70 r. po Chr.).

Trzęsienie ziemi w Salonikach. W sobotę 5 września b. r. o godzinie w pół do 8 wieczorem tureckie miasto portowe Saloniki, zostało nawiedzone bardzo gwałtownem trzęsieniem ziemi, które trwało dwanaście sekund i wywołało wśród ludności miasta ogromny przestrach. Bardzo wiele domów zostało zrujnowanych skutkiem trzęsienia. Znaczna liczba ludzi straciła życie.

Straszna katastrofa. W kopalni Borysławskiej w Galicyi wydarzyła się w pierwszych dniach czerwca. Dnia 2 czerwca b. r. rano, w tej kopalni wosku, nastąpił wybuch gazów. 16-tu robotników poniosło śmierć, a 4 wydobyto ciężko rannych, którzy w parę dni w szpitalu pomarli.

Druga straszna katastrofa była w Sosnowcu w Królestwie Polskiem. W dniu 31 maja b. r., wybuchł tam w kopalni wielki pożar, który groził całkowitą zagładą kopalni. Już zamierzano zatopić całą kopalnię, choć pociągnęłoby to za sobą milionowe straty, jednak dzięki współdziałaniu obywateli, pożar udało się wreszcie stłumić. przez zbudowanie całego szeregu tam ochronnych. Praca jednak była niezmiernie utrudniona, gdyż trujące gazy powodowały ciągłe omdlenia robotników. Nieprzytomnych wywożono natychmiast na powierzchnię ziemi i udzielano im pomocy.

Cuceniem omdlałych zajmowała się na ten cel utworzona stacya ratunkowa, złożona z dwóch lekarzy, kilku felczerów, oraz wielu urzędników biurowych. Jak wielkie było niebezpieczeństwo, widać choćby z tego, iż w ciągu paru dni zaszło około 1.500 wypadków zatrucia gazami.

W chwili wybuchu ognia w „Saturnie“, 150 robotników znajdowało się pod ziemią. Z wyjątkiem 2, zaduszonych gazami, wszyscy zdołali się wyratować.

Rozmiarów szkód, wyrządzonych przez ogień, niepodobna dotychczas określić. Zarząd kopalni ma nadzieję, iż jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, za miesiąc będzie można rozpocząć dalsze wydobywanie węgla“.

Ochrona zwierząt od much i gzów. Podług jednej z szwajcarskich gazet rolniczych, następujące łatwe środki skutecznie chronią bydło i konie od napaści tak uprzykrzonych w lecie much i gzów. Każdy miłośnik bydła chętnie tych sposobów popróbuje, aby zwierzęta uwolnić od tej plagi i dotkliwego udręczenia w czasie upałów.

1) codzienne nacieranie bydła wiechciem z liści orzecha włoskiego, albo z liści dyni (bani);

2) obmywanie odwarem liści orzechowych w occie zagotowanych (raz na tydzień wystarcza);

3) obmywanie odwarem tytoniu (na 1 część tytoniu, 40 części wody);

4) jako środek do obmywania można wreszcie polecić odwar z czosnku i pokrajanego piołunu, a nawet tylko wodę, w której trochę tych roślin rozmiażdżono.

Popiół drzewny, przeznaczony na nawóz, nie powinien być używany w ciągu lata, ale tylko gromadzony i przechowywany w suchem miejscu, a stosowany jako nawóz dopiero w późnej jesieni i w zimie.

Wrzesień. W polu jeszcze zbiór kukurudzy, konopi, później lnu i koniczyny nasiennej, którą siec wtedy, gdy już podsychają główki i czuć w nich twarde ziarno.

Pod siew orać i rolę przysposobić. Pszenicę siać na ziemi żyźniejszej, żyto można i na piaszczystej. Najlepsze oziminy na ugorach wynawożonych, albo na koniczyskach, i po grochu bobiku, mieszance na paszę. Siać, gdy się orka odleży i pole uczyni się sprawnem. Najlepszy siew rzędowy, w ubogich ziemiach rzędy na 12 cm. w bujnych i dobrych ziemiach na 20 cm., aby można obsiekiwać motykami. Pod oziminy dobra jest tomasówka po 3 cetnary, albo mąka z kości po 2 cetnary na mórg.

Skoro nać obeschnie, kopać wcześniejsze ziemniaki. Piwnicę albo dół ma się suchy przygotować i na przykrycie kopca słomę, liście, albo gałęzie leśne iglaste, także dobry jałowiec. Rzepak, skoro ma parę liści, okopać i oplewić. Fasolę piechotną zebrać i wysuszyć na rogalach albo na dachu.

Prosięta drugie teraz wypadają. Drób się pierzy, trzeba go dobrze żywić i chronić od zbytniej wilgoci i zimna, szczególnie kury, indyki i gęsi zacząć tuczyć.

Owoce zbierać rękami, nie trząść, nie obtłukiwać, z opadłych jabłek robić jabłecznik. Śliwy i inne owoce suszyć, a powidła warzyć. Ogórki zakisić. Także i warzywa na suszarkach owocowych można suszyć na sprzedaż, n. p. marchew, pietruszkę, kalafiory, groszek zielony, fasolę szparagową, pomidory poprzekrawane, grzyby. Rydzów na sprzedaż nakisić.

Kapusta formuje głowy — jeżeli zawcześnie — a deszcze panują, a głowy pękają, to podrywać trochę głąbie z ziemi.

Przechowanie owoców zimowych w suchym piasku. Wybrany, zdrowy owoc owinąć każdy pojedynczo w miękki papier lub bibułę i ułożyć warstwami w skrzynce, przesypując go czystym, wysuszonym piaskiem. Najprzód na dno naczynia dajemy koło pół cala piasku, i na nim ustawiamy owoce kielichem na dół, jedne obok drugich, zostawiając jednak pomiędzy niemi nieco przestrzeni na piasek, który następnie sypiemy w takiej ilości, iżby tylko przykrył całą warstwę owocu. Tak postępujemy do napełnienia skrzynki, zachowując ostatnie parę cali na piasek, poczem skrzynkę wieczkiem zabijamy i wnosimy do miejsca chłodnego, a od mrozu zabezpieczonego.

Zamiast piasku do przesypania owoców służyć mogą: otręby, plewy, trociny, i drobno sproszkowany węgiel drzewny. Materyały te winny być bez żadnego obcego zapachu. Odmiany, o ile możności oddzielnie rozmieszczać, przeznaczając najlepiej dla każdej osobną skrzynkę, lub też w jednej i tejże skrzynce umieszczać wcześniejsze odmiany od wierzchu. Co trzy do czterech tygodni owoce przełożyć, wyjąć zupełnie dojrzałe, usunąć nadpsute. W ten sposób nawet szlachetniejsze odmiany można czas dłuższy przechować zupełnie dobrze.

Mróz na trzy do pięciu stopni Reaumura bynajmniej owocom nie szkodzi byleby następnie powoli odtajały.

Truskawki. Najwłaściwszą porą sadzenia truskawek jest koniec lata (o ile dni pochmurne tej robocie sprzyjają) i początek jesieni do października. W porze tej wszędzie po większych ogrodach handlowych i dworskich można dostać rozsady z odrostów umyślnie do jesiennego sadzenia truskawek przygotowanych. Truskawki lubią grunt żyzny i wilgotny o położeniu odkrytem, więc słonecznem. W takich tylko warunkach spodziewać się można obfitego plonu dorodnych i smacznych owoców; w ziemi licho uprawionej, zacienionej, truskawki wydają owoc w mniejszej ilości drobny i nie tak smaczny. Najodpowiedniejszym pod hodowlę truskawek będzie grunt gliniasty, jako najdłużej utrzymujący wilgoć, przytem pulchny i dobrze nawieziony obornikiem, dobrze przetrawionym nawozem stajennym, lub co lepsza, kompostem.

Zboża na śpichrzu, gdy się szufluje, by zapobiedz stęchliźnie, nie należy przegarniać, tylko podrzucać w górę, aby poszczególne ziarna się rozrzucały i miały styczność z powietrzem, a potem, aby ziarno mieszało się należycie ze ziarnem więcej oddalonem. Często się zdarza, że nieraz podłoga wilgotna wpływa na butwienie zboża tak, iż w jednym końcu kupy, zboże test suche, a w drugim wilgoć się pokazuje.



ODPOWIEDŹ.

Na zapytanie, co zrobimy z Waszemi podpisami, jakie przesyłacie dla Maryi Konopnickiej na osobnych kartkach, w *Przodownicy* Wam przesłanych, donosimy że te wszystkie kartki będą oprawione w osobną piękną książkę i czcigodnej jubilatce w dniu uroczystości jej ćwierćwiekowej pracy, w Krakowie przez redakcyę i czytelniczki *Przodownicy* wręczone.

Ponieważ uroczystość ta narodowa została odłożoną na październik b. r., przeto te Czytelniczki, które jeszcze Swych podpisów nie przesłały, mogą to uczynić Przesyłajcie je więc, drogie Siostry, aby ani jednej z Waszych Imion i Nazwisk nie brakowało w tym zbiorze. Nadto redakcya *Przodownicy* wyda w październiku osobny numer gazetki, poświęcony Maryi Konopnickiej, w którym będą wydrukowane Wasze wierszyki, życzenia, napisane na tych kartkach.



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka**.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

O TADEUSZU KOŚCIUSZCE.

Przez M. T. P.

(Ciąg dalszy).

VI.

Zwycięstwo pod Racławicami rozbudziło wśród narodu nadzwyczajny zapał. W Warszawie zwłaszcza wiadomość o wygranej wywołała radość ogromną. Oddawna już przemyśliwano tam o wybuchu, lecz dopiero w Wielki Czwartek, dnia 17 kwietnia 1794 r. udało się sprzysiężonym, pozyskawszy dla swej myśli lud i wojsko, wyrzucić z miasta Moskali. Pierwsi wzięli się do broni ułani królewscy, pod wodzą Kosmowskiego. Ci rozbili straż moskiewską, zabrali dwa działa, poczem strzałem armatnim dali ludowi sygnał, że czas zaczynać. Jakoż rzucili się mieszczanie i reszta wojska na zbrojownią, a zdobywszy ją, rozebrali między siebie broń i uderzyli na stojących w mieście Moskali Ludem warszawskim dowodził szewc, pułkownik Kiliński, dzielny Polak, gorąco kochający Ojczyznę, a nad wojskiem miał komendę Stanisław Mokronowski. Poseł rosyjski Igelstroem, straciwszy przeszło 2 tysiące ludzi, musiał z niedobitkami Warszawę opuścić.

W parę dni później, t. j. 23 kwietnia, pułkownik Jasiński podniósł powstanie w Wilnie i również miasto z wrogów oczyścił. Cała Litwa poruszona tem szczęśliwem zdarzeniem, przystąpiła do powstania, uznając Kościuszkę najwyższym naczelnikiem ruchu.

Atoli na pierwszą zaraz wieść o wybuchu powstania w ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, carowa Katarzyna przesłała rozkaz swym wojskom, zbierającym się nad granicą turecką, aby corychlej wkroczyły do Polski. Wezwała przytem Austryę i Prusy, aby je dopomogły zgnieść ten groźny dla Rosyi ruch. Rząd austryacki nie przychylił się do tej prośby, lecz król pruski Fryderyk Wilhelm, pomimo, iż na mocy przymierza, zawartego ze Stanisławem Augustem, jeszcze 29 marca 1790 r., zobowiązał się pomagać nam w wojnie z Rosyą, teraz złamał dane słowo i kazał swym generałom przekroczyć polską granicę i walczyć przeciwko Kościuszce. Nasz naczelnik tymczasem, powiększywszy szeregi swych żołnierzy i sprawiwszy ich należycie, oraz zaopatrzywszy w dostateczne zapasy broni i żywności, wyruszył przeciw Prusakom i aby ich nie dopuścić do Warszawy, gdzie zdążali, przeciął im drogę, stanąwszy obozem pod Szczekocinami. Tu przybył do kwatery wodza ks. Józef Poniatowski i jako ochotnik zgłosił się pod rozkazy Kościuszki.

Krwawe spotkanie pod Szczekocinami nastąpiło dnia 6 czerwca. Długo niepewnym był wypadek boju, gdy nareszcie świeżo nadeszłe Prusakom posiłki, przechyliły zwycięstwo na ich stronę. Kościuszko walcząc zawzięcie, w bitwie tej stracił pod sobą dwa konie i został raniony, lecz chociaż przed przeważającą siłą nieprzyjaciół ustąpić musiał, nie upadł na duchu. Miał on bowiem bezgraniczną ufność w świętość sprawy, dla której poświęcił się i umiał wlać w naród otuchę. Co prawda, cofnął się z pod Szczekocin, ale pruskie wojska idąc za nim krok w krok, nie śmiały już uderzyć na niego i tak, choć zwyciężonego, pokonać nie mogły. Spieszył więc teraz Kościuszko do Warszawy, lecz w drodze smutne odebrał wieści. Doniesiono mu bowiem, że na kilku miejscach zostali Polacy pobici przez Moskali, oraz, że Kraków wpadł w ręce Prusaków. Takie nieszczęścia byłyby z pewnością przygniotły każdego innego, ale nie Kościuszkę. On nie rozpaczał. Stał w obronie Ojczyzny niczem nie poruszony. Wielki umysł jego zrozumiał, że aby powstanie mogło skutecznie działać, trzeba mu zapewnić poparcie całego narodu. Postanowił tedy zwrócić się przedewszystkiem do wieśniaków, rozgrzać ich serca szlachetnym zapałem dla świętej sprawy wolności Ojczyzny i pociągnąć ich tłumnie w swoje szeregi. Wydał więc gorącą odezwę do obywateli całej Rzeczypospolitej z rzewną prośbą, aby uwolnili swych poddanych chłopków od pańszczyzny na czas ich pobytu w obozie — wreszcie ogłosił osobistą wolność włościan. Nie dosyć na tem; i żydów nie przeoczył także. Że było pomiędzy nimi kilkunastu zacnych, co usługi swe i życie Polsce ofiarowali — przeto zwrócił się do nich z wezwaniem, aby również spieszyli do obrony wspólnej Ojczyzny — a nawet niejakiego Berka Josielowicza mianował pułkownikiem z poleceniem, aby ze swoich współwyznawców formował szeregi.

VII.

Posunąwszy się znacznie bliżej ku Warszawie, pobił Kościuszko Prusaków, którzy w 50 tysięcy żołnierza oblegali ją — i uwolnił tym sposobem stolicę od strachu nieprzyjacielskiego zajęcia. Ta szczęśliwie dokonana odsiecz zatarła w umyśle narodu wspomnienie poprzednich niepowodzeń orężnych i na nowo ożywiła ducha. Uniesienie Warszawian nie miało granic. Chciano zrobić Naczelnikowi bardzo uroczyste przyjęcie, lecz on wy-

prosił się od tego, szczęśliw, że przy pomocy Boskiej zdołał dla powstania odzyskać stolicę. Poczem stanął obozem pod Mokotowem pod Warszawą, i zaraz, nie wypocząwszy wcale, zajął się pomnożeniem i zaopatrzeniem wojska.

Kościuszko był jednym z tych ludzi, co to w wątłem ciele noszą niestrudzonego ducha. Dla niego praca każda, czy to ręczna, czy umysłowa, była najmilszą i najzwyklejszą rzeczą. Nie jeść, nie spać, nie wypoczywać potrafił, ale nie pracować nie mógł ani godziny. Z rady wojennej biegł on na pole walki — z pola do okopów lub czat nocnych. Wszystkie swoje chwile, wszystkie siły i wszystkie myśli poświęcał on świętej sprawie wolności Ojczyzny. A przytem jakżeż wielkim charakterem odznaczał się ten ubóstwiany wybraniec narodu! Łagodny, uprzejmy, serdeczny i przyjacielski — nigdy nie uniósł się gniewem — nigdy nie pozwolił ani drugim, ani przedewszystkiem sobie na coś takiego, coby z cnotą nie było zgodne. Tą czystością obyczajów, tą godnością wewnętrzną, tem szlachectwem ducha panował nad tłumami, które za życia patrzyły na niego z uwielbieniem bez granic, a dzisiaj i po wiek wieków niemal czcią, jak Świętych Pańskich, pamięć jego otaczać będą.

Pomimo, iż Prusacy wspomagali w tej wojnie Moskali, przecież ci nie czuli się dość pewnymi, czy podołają takiemu wodzowi, jak Kościuszko, który nad sercami całego narodu wszechwładnie panował. Kołatali tedy u Austryi dotąd o posiłki, aż i to rozbiorowe mocarstwo przeciw nam zbrojnie wystąpiło. Kościuszko ujrzał się tedy naraz zagrożonym z trzech stron. Lecz złym losom nie dał za wygraną — tylko bardziej jeszcze natężał siły i łamał głowę, aby możliwość obrony obmyśleć.

Chcąc trzem nieprzyjaciołom skuteczny stawić opór, trzeba mu było wojska wiele, bardzo wiele, aby go mógł następnie odpowiednio podzielić, i w trzy różne strony rozesłać. Lecz co najboleśniejsza dla niego, nie dość, że ciężkie swe obowiązki, jako wódz pełnił z całem zaparciem się siebie, jeszcze stało przed nim trudne i niewdzięczne zadanie: godzić poważnione stronnictwa w narodzie. Byli nawet tacy, co szemrali przeciw samemu Kościuszce, zarzucając mu brak silnej woli, zbytnią łagodność w sądzeniu i karaniu zdrajców i niepotrzebne uszanowanie, jakie okazywał zawsze dla króla Stanisława Augusta, który już żadnej nie posiadał władzy. Lecz szlachetna i zacna na wskróś dusza Kościuszki inaczej to rozumiała. Nie osobie Stanisława Augusta oddawał on cześć, bo ten na nią postępowaniem swem wcale nie zasługiwał, ale godności, w którą naród był go niegdyś przyoblókł. Kościuszko więc nie zważał na ciskane na siebie potwarze i różnorodne oskarżenia. W sumieniu własnem czuł się zupełnie czystym, a że wyższym był sercem od innych, więc nie rozrywać pragnął, ale jednoczyć, nie upokarzać, ale podnosić i uszlachetniać. Jedną jedyną przewodnią myślą całego jego żywota było oswobodzenie Polski z niewoli wrogów i wyrwanie jej z wewnętrznego upadku. Więc szedł przez życie drogą prawdy, cnoty, miłości i pracy.

Pod Mokotowem doszła także Kościuszkę wieść, że sławny generał rosyjski Suwarow ciągnie przeciwko niemu z 22 tysięcznem wojskiem, oraz że kilka drobnych oddziałów polskich, rozstawionych nad Bugiem, zupełnie zostało pobitych. To zmartwiło Naczelnika, zwłaszcza że siły miał niewielkie, a wiedział, iż chcąc zupełnego uniknąć rozbicia, powinienby co prędzej uderzyć na Suwarowa i pokonać go, zanim ten zdoła połączyć się z również nadciągającymi pułkami generałów Derfeldena i Fersena.

Jakoż zdawszy się na wolę Opatrzności, Kościuszko ściągnął, co tylko było w pobliżu, żołnierzy i dnia 9 października 1794 r. mając zaledwie 5800 ludzi i 21 dział, podstąpił pod wieś Maciejowice, leżącą w nizinie o pół mili od Wisły. Że miejsce zdawało mu się być odpowiedniem, przeto przygotował się tu do bitwy, którą generał Fersen natychmiast silnym atakiem rozpoczął. Trzy pierwsze godziny morderczego boju upłynęły dosyć pomyślnie dla naszych. Naczelnik wszędzie obecny, ciągle przelatywał poprzed szeregi, niósł pomoc, gdzie jej najwięcej potrzebowano, krzepił walczących przykładem własnego męstwa i słowem zachęty, nadziei. Trzy konie ubito pod nim. On śmiało dosiada czwartego, i chociaż kilkakrotnie raniony, rzuca się znowu w wir bitwy. Lada chwila ma mu nadejść Poniński z pomocą — więc niecierpliwie nadsłuchuje, czy już nie dudni ziemia pod kopytami ułańskich rumaków. Ale niestety! czas ubiega, a naszych nie widać. Za to na pole walki cwałuje co koń wyskoczy doborowy pułk sybirskich grenadyerów, aby wzmocnić bardzo przerzedzone szeregi moskiewskie. Więc na nowo bój się rozpoczyna rozpaczliwy, ostatni. Grają armaty, Moskale rzucają się na obóz polski, trupy coraz gęściej padają. Nasi zagrzewani bezustannie gromką komendą Naczelnika, walczą jak lwy — już bez nadziei zwycięstwa, lecz aby przynajmniej drogo życie sprzedać. Dwa razy odpierają napaść. Lecz coraz ich mniej — połowa legła bohaterską śmiercią. Pozostałych garstkę zbiera raz jeszcze Kościuszko, szykuje w czworobok i gorącemi słow

zachęciwszy do wytrwania, prowadzi... na śmierć. Wtem i z tyłu naszych niedobitków ukazuje się nieprzyjaciel. Wzięci we dwa ognie, idą w rozsypkę. Kościuszko, nadludzkie czyniąc wysilenia, próbuje jeszcze zatrzymać uciekających; rzuca się naprzód, a przesadzając rów, pada wraz z koniem. Jeden z kozaków rani go piką po dwakroć. Krew mu upływa, podnieść się nie ma już czasu; nadbiega bowiem oddział rosyjskich ułanów. Ci, widząc go krwią zbroczonego i tak bardzo osłabionego, że nawet niezdolny jest szabli na swą obronę wyciągnąć, wołają: „Poddaj się“! On nic nie odpowiada. Dostaje więc pałaszem cięcie w głowę — zalewa się krwią i traci zupełnie przytomność.

Kościuszko padł więc, a z nim cała nadzieja. Bitwa skończyła się natychmiast. Z naszej strony nie było już ani wodza, ani żołnierzy. Moskale zająwszy plac boju, szukali Kościuszki między poległymi, lecz odnaleźli oddychającym jeszcze. Chociaż wrogowie wzruszeni widokiem nieustraszonego tego bohatera, ułożyli go z czcią na noszach i odesłali do najbliższej swojej kwatery. Tam opatrzono mu rany, a miał ich kilkanaście. Gdy obwiązywano je, choć nieprzytomny, zaczął jęczeć tak boleśnie, że wszyscy obecni, Moskale nawet, w głos się rozpłakali.

O tej nieszczęsnej bitwie maciejowickiej napisano wiersz, który tutaj przytaczam wam w urywku:

„Krwią zbroczony, wrogami otoczon dokoła,
Bez sił, spadając z konia, między trupów stosem,
Bohaterze Racławic, gdyś słabnącym głosem
Krzyknął: „Boże, ratuj Ojczyznę, nikt inny nie zdoła“!
Myślałeś, żeś miał umrzeć, lecz skrzydło anioła
Strzegło cię roztoczone nad dni twoich losem —
I śmierć nie śmiała dotknąć gotowym już ciosem
Namaszczonego ręką Bożą swego czoła.
Tak i z twoją Ojczyzną, o rycerzu dzielny!
Tak i z Polską dziś naszą ciągnioną bezkarnie
Jak niegdyś Chrystus, Pan nasz, na krzyżu męczarnie.
Napróżno wróg ją w całun owija śmiertelny —
I pozornym jej zgonem napróżno się łudzi —
Bóg zachował w niej życie i ze snu ją zbudzi“.

. . . .



Dańko z Jawuru.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Pójdź za mną — rzekł do drugiej.

— Nas ścigają, nas szukają, czy słyszycie? już blizko.

— Pójdź za mną, prędko, prędko — odpowiedział jej tylko, bo w istocie sam dosłyszał chrzęstu litewskiej zbroi.

— Moje dzieci, moje dzieci! — powtarzała niesiona kobieta — gdzie mój syn, gdzie moja Halinka?

— Córka jest z wami, syna nie widziałem — nad jej uchem schylony odpowiedział Dańko.

— Wzięto mi syna, dom spalono, mąż daleko, a znikąd opieki!

— Syn wróci, dom się odbuduje, opiekę znajdziecie przy poczciwych ludziach, spokojnie tylko i odważnie z nami! Ojcze — rzekł, obranego dobiegłszy stanowiska — te kobiety są same i ścigane, brońmy je, bo wrogi się zbliżają.

— Brońmy — Sęp powtórzył z cicha — jakbyśmy chcieli, żeby kto matki twojej i Magdeczki bronił.

— Zostawcie mnie tutaj — rzekła wtedy na ziemi złożona niewiasta — ja słaba, zawadzać wam będę; Halinkę tylko moję, moję córkę uprowadźcie z sobą.

— Niech będzie Imię Pańskie pochwalone, a toć ja dawnej pani mojej głos usłyszałem! — zawołał Piotr w najżywszem wzruszeniu.

— Kaszubską jestem, a wy kim? — zapytała go drżąca.

— Tym, który waszą córkę pobłogosławił, któremuście rękę podali w kościele...

— A ja tym — przerwał Dańko — który Bogu dziękować będzie, jeśli mu dobroć Jego pozwoli, kosztem własnego życia lub wolności, przed wszelkiem złem was obronić.

A łatwem było przyrzeczenia dotrzymanie, bo ledwo słów tych domówił, zaiskrzyły z poza drzew rozpalone głownie i przy dzikim ich blasku trzech silnych Litwinów odznaczyły się postaci.

— To ci sami, ci sami, matko, co nas szukają — z przerażeniem młoda wyjękła dziewczyna.

— Cicho, cicho — rzekł Sęp — przylegnijcie do ziemi jak kamienie, a gdy bójka zawre, pełzajcie wężem przed siebie. — I żeby im czas potrzebny do schowania się zostawić, ojciec z synem pierwsi ku nadchodzącym poskoczyli nieprzyjaciołom.

Machnął Dańko żelaztwem i spadła jedna brodata głowa, rzucił toporem Piotr i ramię jedno bezsilnie obwisło; ale trzeci wróg oburącz ujął ciężki miecz żelazny i gdy go spuścił, kawał drewna tylko pozostał w dłoni Sępa, który siekierą strasznemu ciosowi się zastawił. Przechodziło szczęście na stronę Litwina, twardy miecz, twarda zbroja przeciw gołej ręce starca, i wątłej chłopskiej kosie, a do tego jeszcze był towarzysz, choć ranny, lecz wściekły, z żelazem

u boku. Dańko rzucił się przed ojca i nim po drugi raz wzniesiony miecz litewski opadł, on takie koło w powietrzu zaświsnął, że pewnie ostrze zbyt blizko musiało oczom najezdnika zaświecić, bo się cofnął o kilka kroków i schowany za drzewo, niby ku odwrotowi mieć się zaczął.

Sęp tymczasem trupowi miecz i całe uzbrojenie zabierał, a Dańko pochylił się nieco, nóż wyciągnął i choć cały zajęty jednym przeciwnikiem się zdawał, ku drugiemu i ku ojcu bacznie z pod oka spozierał.

— Cha, zdrajco! — krzyknął wreszcie — masz tobie! — i cały nóż po rękojeść w boku rannego litwina utonął, bo właśnie gdy sam Dańko miał od czynionej przeciw sobie zasadzki się chronić, postrzegł, jak nad zgiętym ku ziemi Sępem ogromna maczuga w lewej ręce nieprzyjaciela się wzniosła, lecz w tejże chwili coś go silnie trąciło, i nim dzielny chłopak zdołał nóż z upadającego na ziemię wyciągnąć, prawa strona piersi rozciepliła się gęstemi krwi kroplami. Dańko jęknął mimowolnie. Sępowi oczy tylko jak dwie iskry mignęły; gdyby nie noc, przez rozwarte usta można byłoby wszystkie ściśnięte zęby jego policzyć, z kawałem ręki odciął miecz poległego i szalony, zapamiętały rzucił się ku temu, co mu jego Dańka, jego syna, zranił tak srodze. Starli się nawzajem, miecz o miecz zadźwięczał, pierś o pierś uderzyła i tak ze dwie minuty pasowali się równi mocą, równi wściekłością, a końca walki niktby przewidzieć nie mógł. Lecz nagle z przeciwnej strony jakiś odgłos przestrachu się rozległ.

— Ojcze! — zawołał orzeźwiony nim Dańko — bijcie! zabijcie! tam Litwini między nasze kobiety wpadli.

— Cha, to pomoc — wybełkotał spieniony przeciwnik i jak mógł najsilniej obiema rękami ujął Sępa przez pół w pasie, by go o ziemię powalić, a Sęp rozszerzył ramiona, dał się w żelazne ścisnąć kręgi i upadł; lecz w upadku przygniótł własnym ciężarem splecione nieprzyjaciela palce, a z wolności swoich rąk korzystając, wydarł jedną strzałę Litwinowi i co mu tylko rozpacz siły zostawiła, pchnął ją przez usta aż w gardło zapaśnika. Litwin jęknął, czarną krwią splunął i legł na boku, jak przyjaciel uściskiem tuląc do siebie zmęczonego Sępa. Krzyki, płacze, wołania coraz głośniej, coraz bliżej słychać było. Sęp wydarł się z objęć trupa i pokrzepiony odniesionem zwycięstwem, ku nowej podążył bitwie. Dańko już go tam uprzedził, świeżą ziemią, liściami, udartą z koszuli przewiązką zatamował krew, z którą mu mocy i życia ciągle ubywało, a ojciec zastał go już, gdy na porywającego Halinę śmiertelnym godził ciosem. Lecz teraz cała postać bójki się zmieniła, Litwinów było więcej, do sześciu lub siedmiu może, a oni, Sęp z Dańkiem, poprzednią osłabieni walką, i tylko jeszcze kilka kobiet z nimi; a jednakże kto to zgadnie, do czego w chwili niebezpieczeństwa kobieta w obronie ukochanych, kobieta dla ocalenia swych dzieci jest zdolną? Owa, przed chwilą tak słaba, tak wątła, tak drżąca pani Kaszubska, teraz o drzewo wsparta, jedną ręką przyciska do siebie Halinę, którą zarosły Litwin próżno wydrzeć jej się kusi, w drugiej płomienną trzymając głownię, takie nią szybkie zakreśla półkola, że zdala przysiędzby można, iż ją ognista jakaś tęcza przed napaścią broni. A Salomea? o, Salomea, to wytrwała, zahartowana w trudach i pracy wieśniaczka. Ramię o ramię z Magdeczką się wsparła, i obie zastawiają się żelaznemi widłami, a Bartuś, choć na drzewie siedzi, ma pełno kamieni w połach swojej sukmanki; od czasu do czasu ciśnie z nich którym i zawsze tak szczęśliwie, że trafi albo w to oko, albo w tę rękę, co na matki i siostry zgubę mierzyć chciały.

Jednak Litwini żwawo nacierają: jeden z nich na koniu, jakby przywódca, pewnoby więcej od wszystkich dokazywał, gdyby wsród tych zarośli wolniej rumakiem kierować można, lecz on, choć na wpół bezczynny, znakami i głosem kieruje swych towarzyszów obroty, kilka razy nawet łuk swój dociągał, ale zawsze niewidomą ręką ciśnięty kamień potężnie palce mu skrzesał. Więc też nie próbuje sam szczęścia, tylko przyczaił się w cichości, czasem tego, lub owego ze swoich przestrzeże, a dla siebie do działania lepszej pory cąeka. Szczęk broni przyciągnął niejednego wroga; ale też usłyszanym został i przez niejednego z takich, co jak Piotr Sęp, na obronną wybrali się ucieczkę, obustronnie więc przybyło walczących. Straszna to rzeź była, wśród nocy, wśród przekleństw! Kosy, topory, noże, widły odbijały się od żelaznych tarcz i mieczów; ale częściej jeszcze od kości lub głów nieprzyjacielskich. Napastnicy przygotowali się tylko do zbierania jeńców i łupów: tak długa potyczka wcale ich zamiarom nie sprzyjała. Świsnął z konia dowódzca w mgnieniu oka wszyscy na wszystkie rozpierzchli się strony i znikli jako ćmy nocne; lecz w pierwszym nieładzie podziwienia zamieszanie się wkradło i między zwycięskich Lachów.



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.